

Wejherowski Konkurs Literacki

# *Powiew Weny*



Miejska Biblioteka Publiczna  
im. Aleksandra Majkowskiego  
w Wejherowie

WEJHEROWO 2019





Miejska Biblioteka Publiczna  
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

XIV Wejherowski Konkurs Literacki

# **POWIEW WENY**

pod patronatem  
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2019

W y d a w c a:

**Miejska Biblioteka Publiczna w Wejherowie  
im. Aleksandra Majkowskiego**

Opracowanie i skład komputerowy:  
Henryk Połchowski

Korekta: Krzysztof Powalka

Projekt okładki: Henryk Połchowski

Druk: MIDI-DRUK Wejherowo

ISBN 978-83-940674-3-4  
Wejherowo 2019

## Drodzy Czytelnicy

Kiedy przed 14. laty wejherowska biblioteka wyszła z inicjatywą konkursu literackiego dla mieszkańców naszego miasta i powiatu, nikt wtedy nie przypuszczał, że ten konkurs zapoczątkuje tak wspaniałą tradycję wyzwań i zmagających literackich dla pisarzy naszego regionu. Przez te 14 lat nasza biblioteka, wtedy jeszcze Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna, a od kilku lat - Miejska Biblioteka Publiczna, stworzyła bardzo ciekawy cykl twórczy promujący początkujących, a także rozwijających swoje uzdolnienia pisarzy i poetów.

Ta inicjatywa służy niewątpliwie rozwojowi szeroko prowadzonej działalności kulturalnej w naszym mieście. Przyczynia się do promocji pozytywnego wizerunku Wejherowa, które dzięki aktywności placówek kultury, w tym m.in. Filharmonii Kaszubskiej, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Państwowej Szkoły Muzycznej I st., a także wejherowskich bibliotek, staje się coraz bardziej rozpoznawalne na mapie Polski i kojarzone z efektami prac na polu kultury.

Tegoroczny konkurs, mający tradycyjnie charakter otwarty, zarówno dla debiutantów, jak i dojrzałych autorów, mieszkających na terenie województwa pomorskiego, został zainspirowany hasłem przewodnim Lwa Tołstoja, autora słynnej powieści "Wojna i pokój", które brzmi: „Czas to szansa dla wolności”.

Czytając z zainteresowaniem prace nadesłane na konkurs zauważyłem, że często interpretacja tej wolności, w piórach wielu autorów, związana była z bólem i jakąś tragedią. Dla nas Polaków pojęcie wolności ma niebagatelne znaczenie, bo jako naród zapłaciliśmy za nią bardzo wysoką cenę. Dlatego przemyslenia literackie zmierzające zarówno w kierunku rozpatrywania aspektów wolności narodowej czy obywatelskiej, jak również wolności

osobistej, z jej wszelkiego rodzaju ograniczeniami prawnymi i moralnymi, są bardzo ważne i zasługują na uznanie. Życiowa praktyka pokazuje bowiem, że każdy człowiek musi na codzień zmagać się z upływem czasu, problemami zdrowia i śmierci, świadomością swoich szans, a także obiektywnymi problemami decydującymi o poczuciu wolności. Mają na to przecież wpływ także umowy prawne i społeczne, światopogląd oraz odpowiedzialność osobista za podejmowane działania. Z koniecznością dokonywania wyborów wiążą się też pewne ograniczenia, które w konsekwencji decydują o poczuciu wolności. Cieszę się, że uczestnicy konkursu tak szeroko i ciekawie odnieśli się w swoich pracach do zaproponowanego przez organizatorów motta konkursu.

Gratuluje wszystkim twórcom, którzy w ramach Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny" postanowili pokazać swoje uzdolnienia i pasje literackie. Gratulując autorom nagrodzonych prac wyrażam też nadzieję, że twórcy, których prace nie zostały wyróżnione przez jurorów, nie zniechęcą się i wezmą udział w następnych edycjach "Powiewu Weny", do czego bardzo serdecznie wszystkich zapraszam. Jednocześnie dziękuję organizatorom konkursu i jurorom, którzy angażują się i poświęcają swój czas na ocenę prac literackich mieszkańców naszego regionu. Dziękuję także aktorom bibliotecznej grupy teatralnej "Errata" za wspaniałe przedstawienie fragmentów nagrodzonych tekstów.

**Prezydent Miasta Wejherowa  
Krzysztof Hildebrandt**

## WYNIKI

### XIV edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny“ z 18 listopada 2019 roku.

#### W kategorii - dorośli

##### PROZA

- I miejsce - za opowiadanie pt. „Między zawsze i nigdy“,  
godło „Sulani“ - Paulina Melcer z Wejherowa.
- II miejsce - za opowiadanie pt. „Elegia o nie moim miejscu“,  
godło „Dobrze już“ - Maria Krzywda z Gdańska.
- III miejsce - za opowiadanie pt. „W drodze do Szaradowa“  
godło „Dziadek“ - Jerzy Kozerski ze Strzepsza.

##### POEZJA

- I miejsce - za wiersze „Opowiedz mi wolność“, „Przyszłość nas nie  
zawiodła“, „Królewska głęboka gęsta wiosna“,  
godło „Krzak niebieskich pomidorów“ - Hanna Makurat-Snuzik  
z Gdańska.
- II miejsce - za tryptyk pt. „wolność“, „czas“ i „szansa“,  
godło „Ona“ - Barbara Malawska z Wejherowa.
- III miejsce - za wiersze pt. „Katharsis spotyka się z Bogiem“, „Katharsis  
podróżuje przez zaświaty“ i „Ponowne narodziny Katharsis“,  
godło „Katharsis“ - Klaudia Janiak z Wejherowa

#### W kategorii - młodzież

- I miejsce - za opowiadanie pt. „Ale byliśmy Odessą“,  
godło „Czarna Oliwka“ - Oliwia Lejman z Wejherowa.
- II miejsce - za opowiadanie pt. „Mistrz i jego uczeń“,  
godło „Jaskółka“  
- Martyna Rutkowska z Redy;
- III miejsce - za wiersze pt. „Bohaterstwa brzemię“,  
„Przepaść czas“, „Stare Miasto“,  
godło „123“ - Wiktoria Konkel z Mechowa.





## **Między zawsze i nigdy**

Czarne spódnice i koszule, ciemne buty i gumki do włosów, kontrastujące z jasnymi falami na głowach kobiet. Wszystkie młode i stare twarze, roztrzęsieni i opanowani ludzie, ich spadające na ziemię łzy i wylatujące w niebo znudzone głosy, wszystko to było tylko ciemnymi plamami na tle szarych murów kościoła, pod który wlokła mnie teraz matka.

Ja też byłam czarną, nic nie znaczącą kropelką w morzu tłumnie zgromadzonych osób. Nerwowo zaciskałam palce na mojej prostej, żałobnej sukience, czując stalowy ucisk dłoni należących do mojej mamy, które w ni- by to pocieszającym geście gniotły mi teraz ramię.

- Boli! - syknęłam cicho.

- Wiem, Martuś, pogrzeby są zawsze bolesne - westchnęła tylko mama, nieświadoma tego, że dla mnie ten konkretny pogrzeb nie mógł być bolesny.

Coś, co nie jest realne, nie może być powodem cierpienia. A ja nie wierzyłam, że ten moment mógł być choć w najmniejszym stopniu prawdziwy - nie mogłam przecież iść między moimi szkolnymi znajomymi, nie mogłam słyszeć ich rozmów o tym, jak bezsensowna była śmierć Szczepana, czuć na sobie ich kpiąco-współczujące spojrzenia, nie potrafiłam pojąć, że właśnie jestem ciągnięta na pochówek kogoś, kogo tak mocno kocham.

- Cześć, Marta.

- Jak się czujesz, Marta?

- Jednak przyszedłeś? To dobrze, musisz się z nim pożegnać...

Więcej rąk zaciśniętych na moim ciele. Błade twarze moich klasowych koleżanek, które rzuciły się na mnie niczym sępy na padlinę. Ścisnęły mnie i poklepywały, jakbym była psem.

- Wszystko będzie dobrze... - szeptały mi do ucha.

- Wszyscy za nim tęsknimy! - mówiły, choć nie była to prawda.

Kłamali, bo nikt nie znał tak naprawdę Szczepana. Rzadko z nim rozmawiali, nie spędzali z nim czasu, nie rozumieli jego uczuć i myśli, jego marzeń i zmartwień. Tylko ze mną dzielił się tym wszystkim. Na dzisiejszy pogrzeb w większości przynieśli róże, a przecież on nie znosił ich kłujących kolców, które zawsze raniły go w palce, nienawidził ich mdłego zapachu. Przyszli tłumami, a on nienawidził też tłumów.

- Zaraz rozpocznie się msza - zagdakała nerwowo moja matka, rozglądając się po tłumie, tłoczył się przed budynkiem kościoła.

Też się rozejrzałam. Nasza klasa i ich przyciszone rozmowy o śmiertelnym wypadku, w którym zginął Szczepan. Obcy ludzie z ich krzywymi uśmiechami i żartami o tym, jak beznadziejnym kierowcą musiał być ten chłopak, że stracił panowanie nad autem. Grupka osób o prostych, ciemnych włosach, takich samych jak Szczepana. Jego rodzina. Wszyscy rozplakani i bladzi, jakby widzieli jego ducha krążącego pośród przybyłych.

Też chciałabym móc go zobaczyć.

Wszyscy ruszyli przez ogromne, ciężkie drzwi do środka kościoła. Matka znów wcisnęła paznokcie w moją skórę i powlokła w stronę wejścia. Ludzie tłoczyli się, wciskali się we mnie, ich gorące ciała paliły mnie, sprawiły, że sphywalam potem, a moje ręce zaczęły drżeć.

- Zobaczymy jego ciało - powiedział jakiś męski głos.

- Podobno ma całą rozwaloną twarz - odparł ktoś inny.

Myślałam, że zwymiotuję. Krok po kroku coraz bliżej, bliżej jego ciała i jego śmierci, bliżej tego, co dotarło do mnie nieodwołalnie.

- Nie mogę udawać, że on żyje. To naprawdę się dzieje - wymamrotałam do matki, po czym wyrwałam się jej tuż przed samymi drzwiami.

Biegłam, przebijając się przez zdziwione twarze. Zostawiłam z tyłu wściekły głos matki i zrozpoczone krzyki moich koleżanek. Biegłam, mijając kolejne ulice, szare domy, rozświetlone sklepowe witryny, schowanych w jesienne płaszcze przechodniów i w końcu czerwono-żółty dywan liści wyłożony na trawniku miejskiego parku. Biegłam najszybciej jak umiałam, czując klucie w płucach i ból w nogach, pragnąc, by był to jedyny ból jaki będę czuła - byłby lepszy niż to, co mnie czekało.

Park zmienił się niezauważalnie w las. Zwolniłam zasapana, kierując się dobrze mi znaną ścieżką między coraz gęściej rosnącymi drzewami. Z każdym kolejnym krokiem coraz bardziej czułam, że się rozpadam. Kawalek po kawałeczku wypadały mi włosy, skóra odrywała się od mięsa, kości rozpadały się w pył. Rozpływałam się w chłodnym, październikowym powietrzu.

A przynajmniej tego chciałam. Przestać istnieć, tak, aby ból rozrywający mi teraz pierś także zniknął.

Dotarłam w końcu do miejsca, gdzie spędzałam często czas z Szczepanem, pewna, że nikt mnie tu nie znajdzie. Było mi duszno od biegu. Z wysiłkiem chwytałam powietrze, czując, że serce zamiast zwalniać bije mi coraz szybciej. Przerazona spojrzałam na swoje dłonie, które trzęsły się coraz bardziej. Ból w piersi przybrał na sile, dziwne gorąco zmieszane z uczuciem paniki rozlewało mi się od brzucha aż do gardła, sprawiając, że dusiłam się jeszcze bardziej. Kucnęłam na zimną trawę i wbiłam paznokcie w ziemię. Z ogromnym wysiłkiem zaczęłam liczyć.

Sto. Jedziemy na rowerach po leśniej ścieżce, ledwo widocznej między drzewami. Dzień był tak upalny, że nawet teraz, pod wieczór, powietrze jest duszne. Szczepan zatrzymuje się tuż przed stawem z małą wysepką na środku, opiera rower o najbliższe drzewo i krzyczy do mnie:

- Chodź, tam jest kładka!

Idę za nim po drewnianym, prowizorycznie zrobionym mostku, który wygląda na mało stabilny. Chłopak widzi, że nieco boję się przejść, więc chwyta mnie za rękę i przeprowadza na wysepkę. Jest na niej tylko parę drzew i miętka, zielona trawa. Natychmiast zakochuję się w tym miejscu.

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś tu był. Ludzie rzadko chodzą po tej części lasu. To takie miejsce tylko dla mnie - mówi Szczepan.

- Teraz już chyba tylko dla nas - siadam na trawie, a po chwili chłopak do mnie dołącza - Skoro już pokazałeś mi drogę, to będziesz na mnie skazany.

- Jakoś się z tym pogodzę - śmieje się i wyciąga z kieszeni spodni srebrny łańcuszek z małym półksiężycem. - Mogę?

Kiwam głową i przytrzymuję włosy, gdy nakłada mi go na szyję. Chłodne srebro i dotyk jego palców sprawia, że przechodzi mnie dreszcz. Znam ten

moment. Odtawarzałam go w myślach codziennie. Zaraz mi powie, że jestem dla niego ważna.

- Będzie ci o mnie przypominał, gdy umrę - mówi chrapliwie, a ja czuję metaliczny zapach krwi.

ODDYCHAJ.

Wbiłam paznokcie jeszcze głębiej w ziemię.

Dziewięćdziesiąt dziewięć. Jesteśmy w kinie na filmie, którego tytułu już nie pamiętam. Jest późny wieczór, oprócz nas na sali jest tylko parę osób. Szczepan siedzi po mojej lewej stronie, jego dłoń niemal dotyka mojej. Czuję ciepło bijące od jego ciała i zapach jego skóry - słońce i mięta - który miesza się ze słoną wonią popcornu. Zerkam na niego i widzę, że zasnął. Ciemne, długie rzęsy rzucają cień na kości policzkowe, jego usta są lekko rozchyłone. Uśmiecham się i małym palcem przesuwam delikatnie po linii jego dłoni. Chłopak marszczy lekko brwi, ale śpi dalej. Obserwuję chwilę jego twarz, ukrytą w półmroku kina. Wydaje mi się najpiękniejszym człowiekiem, jakiego znam - delikatnie zakrzywiony nos, duże usta, linia szczęki pokryta chłopięcym, rzadkim zarostem. W końcu odwracam twarz w stronę ekranu, na przewijające się twarze aktorów wykrzywione krzykiem, ciemną czerwień zaschniętej krwi, ulice jaśniejące bielą kości. Przecież nie o tym był ten film. Marszczę brwi i odwracam się z powrotem w stronę Szczepana, ale on już nie śpi. Jego oczy są przerażająco wytrzeszczone, z gardła wydobywa się głuchy warkot, a z kącików ust wypływa krew.

- Umieram, Marta - charcze i zaczyna się trząść.

ODDYCHAJ.

Ubrania zaczęły być niewygodne, szorstkie, drapały mnie do krwi. Przerażona zrzuciłam je z siebie pośpiesznie i padłam z powrotem na ziemię, mimo zimnego wiatru chłostającego mnie w odsłoniętą skórę. Odszukałam palcami mały kamyk i z ogromnym wysiłkiem skupiłam się na jego chropowatości i ciężarze.

Dziewięćdziesiąt osiem. Jesteśmy przed księgarnią w naszym mieście, oglądamy wystawę. Jest środek lata, więc mimo, że to dopiero poranek, słońce grzeje niemiłosiernie. Szczepan ma na sobie białą koszulę z rozpiętymi guzikami przy kołnierzyku. Gdy pochyla się, żeby zobaczyć tytuł książki,

widzę jego obojczyki, gdzie skóra jest jaśniejsza, nie tak bardzo opalona jak reszta ciała.

- Spójrz, muszę kupić sobie tę książkę - wskazuje palcem na jedną z powieści, zerkając na mnie błękitnymi oczami.

- O czym jest? - pytam z uśmiechem.

Powinien powiedzieć, że o jednym z jego ulubionych piłkarzy grającym w Arsenalu. Powinien dodać, że kiedyś chciałby w końcu obejrzeć ich mecz na żywo, najlepiej ze mną. Zamiast tego jego twarz szarzeje, a wyciągnięta ręka zaczyna drżeć.

- O tym jak umrę. Już niedługo zginę, wiesz?

ODDECH!

Dziewięćdziesiąt siedem...

Liczyłam, odpychając od siebie zniekształcone wspomnienia. Skupiałam się na liczbach, twardym kamyku w mojej dłoni. Liczyłam tak długo, aż udało mi się trochę opanować ciało. Ból w piersi zelżał. Uczucie gorąca w brzuchu zniknęło. Serce zaczęło bić wolniej i w miarę równym rytmem. Oddychałam głęboko.

- Nie mogę... On musi żyć. Nie wierzę, że ktoś tak dobry mógłby umrzeć w tak zły sposób.

- Ale on nie żyje, Marta - odwierkał mi mały wróbel, siedzący na drzewie.

Po chwili wszystkie ptaki zaczęły śpiewać żałobnie: On jest martwy, martwy, martwy...

Poczułam żółć podchodzącą mi do gardła i splunęłam, trzęsąc się.

Przez następne dni marzyłam o tym, by móc wypluć z siebie coś więcej, niż tylko ślinę lub wymiociny. Pragnęłam wyrzucić z siebie cały mój smutek. Chciałam zobaczyć jego ciało, ale nie takie, jakie zostało ukryte w trumnie i zakopane głęboko pod wilgotną ziemią, ze zmiążdżonymi kośćmi i niezagojonymi ranami, z postrzaskanym nosem i rozerwanymi wargami. Mój Szczepan był silny i piękny, zdrowy i młody, o sercu bijącym równo i mocno, a nie zastygłym na zawsze.

Mama próbowała mnie tulić. Niezgrabnie obejmowała mnie, przykładając zimną dłoń do mojej skóry, mówiąc:

- Kochanie, wiem, że to najcięższe co cię w życiu spotkało, ale...

Jej usta poruszały się wtedy, pewnie wyrzucając z siebie serię nieporadnych pocieszeń i daremnych zapewnień, że kiedyś wydobrzeję. Ścisła mnie mocno, a ja odpychałam ją za każdym razem i cierpliwie tłumaczyłam:

- Nie tul mnie, bo to znaczyłoby, że jest naprawdę źle.

To stało się mottem kolejnych dni. Nie mów tego lub tego, bo nie jest aż tak tragicznie. Nie wciskaj mi, że on umarł, bo on nie mógłby mnie zostawić. Dobrze, on zmarł, ale ja się trzymam. Cholera, zaraz chyba się utopię we własnej powodzi myśli. Nie martw się, ja sobie dam radę, jestem dużą dziewczyną. Chociaż nie wiem, czy aż tak dużą, by nie chcieć schronić się w ciepłych ramionach jedynego mężczyzny, jakiego kocham. Wiesz gdzie jest? Podbno w trumnie.

Musiałam chodzić do szkoły. Matka chciała, żebym normalnie żyła. Dryfowałam wśród ludzi, którzy mnie wspierali, pocieszali, delikatnie muskali po rękach. Zderzałam się z osobami, które zerkały na mnie zaciekawione, chichotały w kątach i mruczały, że Szczepan...

-... Może zabił się sam. Może chciał, żeby to wyglądało na wypadek?

-... Był żaloszny, nikt go nawet nie lubił.

-... Pewnie chciał uciec od tej wariatki.

Powinam pragnąć ich zniszczyć. Pewnie nie mogłabym zrozumieć, dlaczego oni żyją, a Szczepan nie. Próbowalabym wydrapać im oczy, wykrzyzczyć, że nie zasługują na nic, że nie rozumieją, że właśnie mnie mordują, zabijają swoją obojętnością, swoim okrucieństwem.

Na szczęście ja nic nie słyszałam. Ich obrzydliwe słowa nie docierały do mnie, nie pozwalałam im przebić się do mojego umysłu, w głowie nuciłam tylko jedną melodię, zagłuszającą wszystko inne: To minie, to minie, to minie...

Czekałam kilka dni, potem kilka tygodni, w końcu miesiący. Ciągle żyłam półżyciem, jakby część mnie gniła w grobie Szczepana. W jednej chwili jego śmierć była nieodwołalna, równie prawdziwa jak fakt, że codziennie wschodzi słońce. W drugiej nic nie było realne, nic nie wydawało się logiczne. Nie poszłam ani razu na jego grób. Nie chciałam widzieć kwiatów od ludzi, którzy nie kochali go tak jak ja. Wyrażali szacunek, to prawda. Ale nie kochali

go. Nie znali go. Nikt inny nie słuchał jego trosk, nie myślał o nacisku jego palców na swojej skórze w taki sposób, jakby brak jego dotyku był odczuwalny jak odcięcie własnej części ciała. Jakby czegoś istotnego brakowało. Nie znałam nikogo, kto mógłby podzielać mój ból.

Żyłam we własnym świecie, w krainie między Zawsze i Nigdy, gdzie kolekcjonowałam wszelkie prześliski wspomnień z nim. Zastygałam w momencie, gdy dopiero nachylał się, by dać mi całusa w czoło; w momencie, gdy dopiero miałam chwycić jego dłoń. Cierpiałam, będąc tam, ale nie potrafiłam przestać.

Nie potrafiłam też ukrywać tego, co czuję. Matka próbowała mi pomóc. Wysłała mnie do psychologa, zapisała na zajęcia sportowe, zmuszała do wyjść ze znajomymi, do wywleczenia się z łóżka i chociaż przez moment nie myślenia o tym, co się stało. Ale ja chciałam myśleć. Chciałam wiedzieć i czuć całą sobą, że to prawda. Chciałam widzieć jego grób, czuć brak jego dotyku, brak jego smaku i zapachu. Być przekonaną, że jego śmierć nastąpiła naprawdę i nic nie mogę z tym zrobić oprócz pogodzenia się.

Zamiast tego spędzałam godziny na włóczeniu się po mieście, szukaniu zjawy wśród miejsc, które wspólnie odwiedzaliśmy. Zaglądałam pod kamienie przy stawie, gdzie dał mi łańcuszek. Wypatrywałam go wśród koron drzew w lesie. Czekałam na niego na peronie. Ale wszędzie spotykał mnie zawód.

Aż w końcu mi się udało.

Tamtego dnia, niemal równe pięć miesięcy po jego śmierci, zobaczyłam go, jak kładzie dłoń na karku swojej matki w kojący, czuły sposób, który był zarezerwowany zazwyczaj tylko dla mnie.

Stała przy starej kapliczce w mniej uczęszczanej części parku. Było to miejsce zarośnięte krzakami, w których błyszczały odłamki pobitych butelek, odludne i kojarzące się większości zazwyczaj wyłącznie z dziećmi pijącymi tu ukradkiem alkohol, mi natomiast z pewnym wiosennym popołudniem, gdy byłam tu z Szczepanem.

Rzadko mówił o swojej matce. Spotkałam ją wcześniej tylko dwa razy. Pierwsze nasze spotkanie odbyło się przypadkiem, w czasie naszego spaceru po mieście. W niczym nie przypominała syna. Chuda i żylasta, o rozbie-



ganych, małych oczkach i nerwowym śmiechu. Mówiąca szybko i bez składu, ubrana brzydko i niemodnie. Drugi raz widziałam ją na pogrzebie jej syna, szukającą ducha wśród żywych.

- Marta?

Była wychudzona, nawet bardziej niż kiedyś. Jej twarz postarzała się, była zniszczona alkoholem, jakby matka Szczepana spędzała dni tylko na piciu. Oczy miała przekrwione, a powieki drgały jej w jakimś dziwnym tiku. Wbijała we mnie wzrok, marszcząc brwi.

- Byłaś koleżanką Szczepcia, prawda?

Zawahałam się. Ta kobieta wyglądała okropnie, niemal odrażająco. Wyciągnęła rękę i chwyciła mnie mocno za ramię, zaciskając szkieletowate palce na mojej skórze. Wzdrygnęłam się.

- Chodziłaś tu z nim? Pokazałam mu to miejsce, jak był mały. Chodziliśmy tu we dwoje, patrzyliśmy na kapliczkę... - wskazała za siebie na niemal sypiącą się ze starości kaplicę. - Ale potem dorósł, mój chłopiec, wiesz jak to jest...

Cuchnęło jej z ust, gdy zbliżyła swoją twarz do mojej. Westchnęłam. Jednak coś ich łączyło - mieli taki sam, intensywnie niebieski kolor oczu.

- Chodź, pokażę ci jeszcze inne miejsca, opowiem ci o nim, moim synku...

- Nie wiem czy to dobry pomysł - wydukałam, próbując się jej wyrwać. Zacisnęła palce jeszcze mocniej. - Muszę iść, wie pani, rodzice...

- Rodzice - zaśmiała się chrapliwie, ciągnąc mnie w stronę wyjścia z parku - Już nim nie jestem, wiesz? Rodzicem. Ale nadal się o niego boję. Codziennie.

Wyszliśmy na ulicę. Wokół ludzie zerkali na nas podejrzliwie - dziwny pochód zapijaczonej kobiety i bladej dziewczyny.

Szliśmy w milczeniu przez długi czas, aż w końcu odważyłam się powiedzieć cicho:

- Nie mogę zostać. Niech mnie pani puści.

- Nie spotkałam cię tam. Ani jeden raz. Musisz tam pójść, bo będzie mu przykro.

Zrozumiałam dokąd mnie prowadzi. Stwór, będący okropną parodią matki, ciągnął mnie uparcie w stronę bram cmentarza.

- Nie chcę! Puść mnie!

Wpadłam w panikę. Na początku chciałam się wyrwać z zaskakująco silnego uścisku kobiety, ale gdy ta nie dawała za wygraną i ciągnęła mnie uparcie między nagrobkami, poddałam się. Zwiotczałam cała, pozwalając się prowadzić. Czułam, że nie byłam gotowa na widok jego grobu. Ale nie potrafiłam odnaleźć też w sobie siły, jakby mocny dotyk matki Szczepana był swoistymi kajdankami, które pozbawiały mnie wszelkiej nadziei na wydostanie się z tej sytuacji. Wlokła mnie jak skazańca.

Szara plamka na tle brudnego, topniejącego śniegu. Tym był jego grób. Podeszłyśmy bliżej. Kilka zniczy, z których tylko część się paliła. Jakaś przemoczona od deszczu i poplamiona kartka, która wyglądała, jakby leżała tam od dnia pogrzebu. Mały wazonik, a w nim róże.

- Nienawidził tych kwiatów - odezwała się gardłowo jego matka. - Ale oni go nie znali wiesz? Przychodzą tu tłumami, podczas gdy...

-... Podczas, gdy Szczepan nienawidził też tłumów - dokończyłam szeptem. Kobieta przytaknęła nerwowo i zapadło milczenie.

Nie mogłam uwierzyć, że tu jestem. Wokół mnie, na innych nagrobkach, roztopiał się szarawy śnieg, a w mojej piersi po raz pierwszy od dawna zaczął topnąć lód, które zamroził we mnie wszystko, co czyniło mnie szczęśliwą. Gapiłam się na litery wyryte na grobie: jego nazwisko w złocie, kontrastujące z szarym kamieniem. Tak jak jego osobowość kontrastowała z innymi ludźmi. Poczułam przypływ miłości, patrząc na zawijasy składające się na jego imię, najpiękniejsze imię, które będzie mi towarzyszyć już na zawsze. Dotknęłam księżycy zawieszzonego na łańcuszku od niego i zerknęłam na jego matkę.

Miała zamknięte oczy. Na jej twarz wpłynął spokój, zmieniając ją w całkowicie inną osobę. Wyglądała teraz jak prawdziwa matka - matka, która godzi się z odejściem dziecka, mimo, że to najtrudniejsza rzecz na świecie. Jej usta szeptały słowa modlitwy, a palce zaciskały się na łańcuszku, zwisającym z jej pomarszczonej szyi.

Był niemal identyczny jak mój, ale przedstawiał słońce. Westchnęłam.

Byłam w błędzie. Istniał ktoś, kto znał Szczepana bardziej niż ja, kto znał go dłużej niż ja i kto być może był mu nawet droższy niż ja.

Wręczył nam podobny prezent, bo tylko my kochałyśmy go tak, że stał się naszym całym niebem. A my byłyśmy jego słońcem i księżycem - dalekie, ale połączone miłością do niego.

Po policzkach popłynęły mi łzy. Westchnęłam głęboko, modląc się. Ściskając mój łańcuszek, myślałam o tym, jak bardzo myliłam się przez ostatnie miesiące. Wierzyłam, że wszystko minęło. Szukałam cieni jego oddechów wśród ulic, wspomnień jego śmiechu w melodii piosenek. On natomiast zostawił mi najpiękniejszą pamiątkę, wiecznie żywą, która miała stać się ogromną pomocą - zostawił mi swoją miłość, niezmywalne znamię, przypominające mi, że warto żyć. Warto żyć, aby już zawsze czuć jak mnie kocha, nawet, jeśli Szczepan nie może być już fizycznie ze mną.

Podeszłam do jego matki, dalej pogrążonej w modlitwie. Delikatnie ją objęłam, a jej mięśnie rozluźniły się.

- Nasz chłopiec, wiesz? - mruknęła.

Ta chwila dała mi nadzieję na wolność. Zwierzę, żyjące w mojej piersi przez miesiące i żerujące na mojej stracie, uciekło. Wiedziałam, że będzie wracać. Ból nie znika od tak. Tęsknota nie przestaje istnieć. Ale zyskałam nadzieję, że kiedyś będzie lepiej. Że rana z czasem zasklepi się, a nasza miłość do tego pięknego, dobrego chłopaka w tym pomoże.

Ten moment, gdy ściszałam jego matkę z miłością, jaką do tej pory okazywałam tylko Szczepanowi, moment gdy uczyłam się z powrotem oddychać i dopuszczać do siebie prawdziwe, po części smutne ale też pełne dobra życie, umieściłam w moim umyśle jako jeden z ważniejszych momentów żyjących między Zawsze i Nigdy, w krainie, która w końcu przestała być źródłem cierpienia.

*Paulina Melcer*

## **Elegia o nie moim miejscu**

Z wędrowca stał się tułaczem. Już dawno porzucił zamiar osiedlenia się gdziekolwiek. Powrotu. Żył drogą i tylko w ruchu czuł się dobrze. Pomiedzy miejscami. Czemu więc siedział teraz w pociągu, który z monotonnym stukotem wiozł go do punktu, w którym zaczęła się jego historia? Dla matki czy dla siebie? Nie znał odpowiedzi i nie był pewny, czy chce ją znać.

Odkąd pamiętał, matkę zawsze otaczała duszna i lepka aura lęku. Starą się kontrolować, szczególnie kiedy ojciec patrzył, ale lęk był silniejszy. Przesączał się przez pory skóry i wypełniał przestrzeń, w której przebywała. Wnikał w ściany, podłogi i meble.

Matka wzdygała się na każdy dźwięk dzwonka do drzwi. Potem uśmiechała się i mówiła lekkim, łamiącym się głosem: „Sprawdź, kochanie, kto to”.

Podchodził wtedy ostrożnie do drzwi, wspinał się na palce i spoglądał przez judasza. „To tylko listonosz, mamó”, mówił. Albo „To pani Stasia z parteru”.

Czasami szeptał „Nie znam tego pana” i wycofywał się na palcach. Potem razem czekali bez ruchu, aż rozedrgany dzwonek się uspokoi. Kiedy matka w końcu opadała z westchnieniem ulgi na fotel, nie wiedział jak przerwać ciszę. Szedł do kuchni i nastawiał cały czajnik wody. Ostre przeciągłe gwizdanie odczarowywało przestrzeń i wracało mu głos. Zaparzał duży dzbanek rumianku i przynosił matce do dużego pokoju. Stawiał na stoliku obok wiklinowego kosza, w którym trzymała robótki i szedł do swojego pokoju. Siadał na łóżku i czekał na powrót ojca z pracy – na śmiech i ręce, które podnosiły go pod sufit, na rozmowy o zwykłych rzeczach i szelest poobiedniej gazety.

Kiedyś zapytał, czego mama się tak boi. Ojciec wyjaśnił, że to wina wojny. Cudzych wspomnień. Niewiele zrozumiał z tej odpowiedzi, ale nie drażył tematu. Jako dzieciak marzył, że jak już dorośnie, ocali matkę. Pocieszy i uratuje ją przed wielkim i złym strachem.

Nie udało mu się go nawet oswoić, pomyślał. Zamknął oczy. Matka nie mogła wiele pamiętać; nie miała nawet trzech lat, kiedy kamienicę, w której mieszkała, zbombardowano. A jednak całe życie bała się utraty swojego miejsca na świecie. A on bał się razem z nią.

Za oknem pociągu pola rzepaku mieszały się ze złotem pszenicy. Droga do domu – słowa obco smakowały na języku. Wracał, żeby się pożegnać? Przecież matka od ponad roku mieszkała w domu opieki. Dzwonił czasem zapytać personel o jej stan. Mieszkanie stało puste. Już dawno powinien był je wynająć. Formalnie należało do matki, ale to on płacił czynsz. Nie potrafił jednak zdecydować się na wpuszczenie obcych do tego domu. Wiedział, że matka wpadłaby w panikę. Nie chciał jej okłamywać. Nie chciał jej ranić. Mimo wszystko.

Czasami miał wrażenie, że odwleka każdą, nawet najmniejszą, decyzję dotyczącą matki. Jakby jeden nieostrożny krok mógł zmienić zasady ich osobnego współistnienia. Zaburzyć równowagę wspomnień i emocji, które nauczył się w stosunku do niej czuć.

Kobieta, którą jako dziecko kochał ślepo i bezwarunkowo, wyssała całe życie z otaczającej ją przestrzeni. Kurczowo trzymając się każdego przedmiotu, zbudowała fortecę. Bezpieczną i martwą, w której zabrakło miejsca i dla niego, i dla ojca. Lata wcześniej zdecydował się na egzystencję poza światem należącym do matki i nie wiedział, czy jest gotowy na zmianę. Czas pozbawiał go jednak możliwości wyboru.

Wracał. Czy sądził, że wejście w pokaleczoną lękiem przestrzeń mu pomoże?

W przedziale zrobiło się duszno. Okno poddało się ze zgrzytem i powietrze wypełnił smród gnojówki. Próby zamknięcia spełzły na niczym, wstał więc i opuścił przedział. W następnym było równie parno. Usiadł i zaraz się podniósł. Każda kolejna ławka wydawała mu się bardziej niewygodna od poprzedniej. Wrócił do przedziału z uchylonym oknem, tylko po to, żeby zobaczyć, że ktoś już zajął jego miejsce. Jego miejsce – co za głupia myśl, zganił się i wyszedł na korytarz. Zapalił i patrzył, jak dym znika za oknem. Papieros nie smakował, jak powinien. Wyrzucił go do ubikacji i zapalił następnego.

Matka nie cierpiała zapachu papierosów. Mówiła, że smród zostaje w ścianach, wnika we włosy i powoduje szarzenie firanek. Nawet popalenie na balkonie nie wchodziło w grę. Był pewien, że matka wyczułaby, gdyby choć najslabsza woń dostała się do wnętrza mieszkania. Zaczął palić dopiero po maturze i wyprowadzce na studia. Przez pierwsze tygodnie zaciągał się łapczywie i z lubością patrzył na ulatujący w powietrze dym.

Matka miała całą listę rzeczy, których nie znosiła i które przyprawiały ją o nerwowe bóle serca, pomyślał. Zastanawiał się czasem, czy razem z ojcem znajdowali się na jej liście. Nie czuł się kochany, ale odpowiadając twierdząco, odebrałby coś matce. I sobie. Zafałszowałby rzeczywistość. Wierzył, że kochała go, jak potrafiła. Czy dlatego zdecydował się wrócić? Nie utrzymywali kontaktów od lat. On wysyłał pocztówki na Boże Narodzenie i Wielkanoc, matka nigdy nie odpisywała. Po śmierci ojca jeszcze szczerzej zamknęła drzwi do swojego świata; pozbawiona opiekuńczego ramienia, przestała wychodzić z domu. Tylko tam czuła się bezpieczna.

Pokręcił głową. Gdyby miał wymienić rzeczy, które matka kochała, słowo dom pierwsze przychodziło mu na myśl. Własne ściany, z solidnym zamkiem w drzwiach, za którymi można było ukryć się przed zagrożeniami świata zewnętrznego. Według ojca matka nie zawsze taka była, on nie pamiętał jej innej; od zawsze stanowiła źródło i uosobienie jego lęków.

Zastanawiał się czasem, jak to jest przynależeć do jakiegoś miejsca. Matka stworzyła obezwładniającą sieć lęku, w której centrum znajdował się dom. Stopień niebezpieczeństwa był jedynym miernikiem przestrzeni, jaki znał. Jego jestestwo nie miało granic wyznaczonych na mapie, choćby takiej dziecięcej, składającej się z punktów orientacyjnych i wytycznych jak: „daleko” (kościół), „blisko” (park), „za rogiem” (budka z lodami) czy „na końcu świata” (nieznane). Miejsca wyczuwają strach, nie umieją wybaczyć ignorancji i ślepoty na ich piękno, pomyślał.

Nigdy nie czuł się pełnoprawną częścią przestrzeni swojej matki. Jej domu, jej miejsc. Wszystko było czyjes na długo, zanim przyszedł na świat. Obszary niczyje zaś nikomu nie poddawały swojej autonomii.

Spojrzał na zegarek, wyrzucił peta i wrócił do przedziału. Miejsce przy otwartym oknie było puste. Usiadł, przyłożył głowę do ściany i zamknął oczy. Sen nie przychodził, myśli same wracały do dawno minionego czasu.

Nieproszone. Powietrze wypełnił zapach leków. Miał dziewięć lat, zapalenie opon mózgowych, i leżał w brzydkiej szpitalnej sali z popękany sufitem. Na śniadanie dostawał ohydne kanapki z mieloną, igła od kroplówki nie pozwalała mu zasnąć. Pamiętał plecy ojca znikające za pomalowanymi na biało drzwiami i skrzywienie chodaków na linoleum w korytarzu. Matka ani razu go nie odwiedziła.

Pociąg zwolnił i szarpnął. Po chwili drzwi przedziału otworzyły się ze zgrzytem i do środka zajrzało kilka osób. Przeszli jednak dalej, zostawiając za sobą odgłos oddalających się kroków. Zaczął liczyć. Pięć w jedną stronę, siedem w drugą, osiem, trzy, dwa, i znowu trzy. Przerwa. Kilka szybkich i szelest materiału w przedpokoju, skrzypnięcie, echo niosące się po klatce, głuchy dźwięk zamykających się głównych drzwi od budynku.

Otworzył oczy. To matka wezwała pomoc, kiedy zachorował, uświadomił sobie nagle. Do tej pory pamiętał jedynie, że pogotowie zabrało go w środku nocy. Dlaczego ojca nie było wtedy w domu? Dlaczego zostawił matkę samą? W kamienicy nie podłączyli jeszcze linii telefonicznej, matka musiała wyjść, żeby wezwać karetkę. Dlaczego przypomniał to sobie dopiero teraz, kiedy nie miało już żadnego znaczenia?

Kolejne szarpnięcie i pociąg ruszył. Lampy na suficie zamigotały i zgasły. Tym lepiej, pomyślał i ponownie zamknął oczy.

Światło przesączało się przez wykrochmalone firanki w dużym pokoju. Matka suszyła je rozpięte na drewnianych ramach, które poopierane o meble tworzyły przedziwny labirynt. Kiedyś w dzień suszenia odwiedzili go koledzy. Matka od razu przegoniła wszystkich do jego pokoju i wyraźnie zakazała dotykać ram. Kiedy któryś szedł do toalety, wstawiała z kanapy i śledziła wzrokiem nieostrożne ruchy chłopięcych rąk i nóg. Następnego dnia w szkole przywitały go szyderstwa i salwy śmiechu. Koledzy nabijali się, że u niego w domu wszystko musi stać na baczność. „Twoja stara to nawet papier do kibla krochmali!”, „Krochmal! Krochmal! Sztyniak!” Więcej ich nie zaprosił. Więcej nikogo nie zaprosił do domu swojej matki.

Wyszedł na korytarz. Pociąg zbliżał się do celu podróży. Wiedział, że stan matki stopniowo się pogarszał. Pamiętała coraz mniej. Lęk ze zdwojoną siłą wdarł się do uwitego przez nią gniazda, zrywając miękkie kilimy ze ścian i koronkowe firany z okien. Wraz z utratą wspomnień, traciła grunt pod

nogami. Kiedy podczas rozmowy telefonicznej zapytał lekarza, czy nic nie da się zrobić, usłyszał, że na starość nie ma lekarstwa. „Proszę ją odwiedzać. Poopowiadać o czymś miłym. Niech pan będzie jej pamięcią, dobrymi wspomnieniami”.

Nie był pewny, czy potrafi. Nie był nawet pewny, czy tego chce. Mówić o czasie jej drogim oznaczało wejście w skórę chłopca, od którego uciekał całe swoje dorosłe życie. Nigdy nie przestał bać się jej lęku. Teraz wracał spojrzeć na nie swoje miasto i nie swój dom jej oczyma. Wziął głęboki oddech i spróbował się rozluźnić, od spania w niewygodnej pozycji rozboleła go szyja. Pociąg z piskiem wtoczył się na stację.

Postawiwszy stopy na peronie, wręcz spodziewał się poczuć namacalną wrogość miasta, w którym dorastał i w którym nigdy nie czuł się u siebie. Miasta swojej matki i jej lęków, jedyne miejsce, które kochała.

Zszedł po zniszczonych betonowych stopniach i ruszył przed siebie. Otoczyła go ciepła letnia noc.

***Maria Krzywda***



### III nagroda w kat. dorosłych

*Kiedys, podczas do dziś tkwiących w mej pamięci, tak wielu „dysput”, jakie z Nim wiodłam, spytałam się, czym dlań jest wolność? Wpierw się roześmiał, jak to tylko On potrafił, by potem, patrząc mi w oczy, odrzec: Wiesz Wika, sądzę, że wolność, to możliwość dokonywania samodzielnych wyborów, pamiętając jednak przy tym, by przez cały dany nam czas, iść ze wzrokiem skierowanym dalej niż własny pępek.*

## **W drodze do Szaradowa**

Godzinę temu pożegnałem się z Wiką, przed jej wyjazdem na lotnisko. Miałem ją odprowadzić razem z odwożącą ją tam Andżeliką – matką Wiki, a moją córką. Miałem, lecz Wika, kładąc mi dłonie na ramionach orzekła, że starzy ludzie, powinni wystrzegać się nadmiernego wysiłku, połączonego z silnym wzruszeniem. Pomilczeliśmy chwilkę, potem ona, zostawiwszy mnie w otwartych drzwiach domu, wsiadła do auta, za kierownicą którego siedziała nie kryjąca zniecierpliwienia Andżelika. „Pamiętasz, jesteśmy umówieni” - głos Wiki złał się z piskiem opon ostro ruszającego auta. Jakże miałbym nie pamiętać!

\*

Nigdy bym nie przypuszczał, że zasiądę przed komputerem, jak niegdyś przy rozklekotanej stalowoszarej „Optimie”, aby napisać coś, co nie wiązało by się bezpośrednio z prowadzeniem mojej małej, bo jednoosobowej firmy. Sprawił to On. Przede mną leży brulion: 96 kartek formatu A4.

Na progu dorosłości żyłem w przeświadczeniu, że moim przeznaczeniem jest bycie kimś, kto otwiera oczy innym magią słów, zawartą w tworzonych dziełach. Wybijali mi to mniemanie z głowy kolejni recenzenci moich, pozał się Boże, literackich wypocin. Wreszcie dotarło to i do mnie samego: źle zdiagnozowałem kierunek i możliwości swoich działań.

To były ciężkie czasy, kiedy liczył się każdy grosz. Ów wspomniany brulion, jak głosił napis na nim wydrukowany: *studentki*, miał swą wymierną

wartość, bo choć nic wydrukowanego nie wypełniło jego stron, szkoda go było poświęcić na rozpałkę do pieca.

Los chciał, że stał się on, pośrednio, inspiracją... ale o tym może później...

Jako rzekłem, w pogoni za jakimś dodatkowym dochodem, który mógłby wspomóc marny rodzinny budżet, odkryłem w sobie zdolność do... „manipulowania” słowem. W ówczesnych tygodnikach społeczno - kulturalnych, jak i w sobotnio-niedzielnym dodatku do dzienników, znajdowały się kąciki rozrywek umysłowych, które zapelniali korespondencyjni autorzy krzyżówek. Dość szybko znalazłem się w tym gronie. Honoraria płacone przez redakcje pism, w których ukazywały się moje prace, było na poziomie ceny pół litra czystej-ojczystej z małą zakąską. Po kilku latach za wydrukowane w tych pismach krzyżówki otrzymywałem pocztą przekazy porównywalne w skali miesięcznej z wysokością mojej pensji urzędniczej. Jako że publikacja prasowa jest rzeczą... ulotną, więc - by ją „zachować dla potomnych” - wycinałem z gazet moje wydrukowane tam krzyżówki i... tu w mojej opowieści tej pojawia się znów „brulion studencki”. Odwróciwszy go o 180 stopni, aby nie wrywać stron z nazwami rodzajów literackich, które już zawczasu wpisałem, zacząłem wklejać wycięte owoce mojej twórczości szaradziarskiej. Na okładce zaś dokleiłem karteczkę z napisem: KRZYŻÓWKI.

Dziwnym losu zrządzeniem brulion ów zapelniał się do ostatniej swej strony, w ważnym dla mych dalszych losów momencie; po zwiastujących, nam wszystkim w kraju, początek drogi do wolności, czerwcowych wyborach w roku 1989, sam również dokonałem ważnego życiowego wyboru - postanowiłem „pójść na własne”, biorąc ostateczny rozbrat z byciem zarówno urzędnikiem, jak i „układaczem” krzyżówek.

Brulion znalazł godne miejsce pochówku, w postaci kartonu po telewizorze, które to pudło ktoś z rodziny z trudem zataszczył na strych.

Życia i problemów, jakie ono ze sobą wlecze, niestety, nie dało się w żaden karton upakować.

\*

Zakochałem się. Zwyczajnie – jeśli zwyczajną jest miłość czterdziesto- sześciolatka do o ćwierć wieku młodszej dziewczyny. I jeśli zwyczajnym jest to, że to ona zadecydowała o charakterze naszego związku. Zresztą, ja w tym wszystkim obsadzony zostałem przez Kogoś, kto dla nas stworzył ten

scenariusz, w roli drugoplanowej, jako kierowca mojej córki - Andżeliki, która poprosiła, mocno wspierana przez matkę, abym podrzucił ją na dyskotekę, głupie pięćdziesiąt kilometrów od domu. Już na miejscu Andżeliki z uśmiechem oznajmiła, że nie muszę się kłopotać o jej powrót do domu. Gdy, wypełniwszy mój rodzicielski obowiązek, wróciłem i przekazałem żonie słowa córki, ta zaaplikowała mi mycie głowy na sucho. Około drugiej nad ranem zostałem wykopany z łóżka wraz z niedokończonym snem, w którym właśnie zacząłem boso stąpać po zroszonej łące. Po trzech kwadransach, już dawno wyzbywszy się resztek senności, zaparkowałem na obszernym klepisku przed halą pieczarkarni, którą obrotny miejscowy biznesmen, przerobił na *discoclub*, jak głosił dwukolorowy neon na frontonie budynku. Dochodził z niego do moich uszu monotonna łomot disco polo, ale impreza raczej miała się ku końcowi, bo w prześwicie otwartych drzwi hali, migwały pojedyncze podrygujące sylwetki, a na placu, prócz mojego, w przeciwległym jego narożniku, stało tylko jedno auto. Ktoś w nim siedział, samotnie, bo tylko jeden ogień zapalonego papierosa zataczał w miejscu kierowcy małe, nerwowe kółka.

Czekanie się przedłużało. Zniecierpliwiony wysiadłem z auta. To samo uczyniła osoba z naprzeciwka – młoda dziewczyna z rozpuszczonymi ciemnymi włosami, sięgającymi jej bioder.

- Pan zapewne po nią? - zabrzmiało to bardziej jak informacja, niżli pytanie. - Poszła z moim starym gdzieś pół godziny temu – ruchem głowy wskazała pobliski las: skupisko sosen, zagęszczonych krzewami o prostych gałęziach i lśniącym w poświacie księżycowej, woskowanym listowiu. Nie znałem tego gatunku. - Cholera, ale dziś zimno! - Zagryzła wargi z przepraszającą miną. - Czasem mi się tak wymysknie - dotknęła lekko mojej dłoni. - Nie ma sensu, bez konkretnego powodu – w jej oczach dostrzegłem coś nieodgadnionego - stać tak w tym chłodzie.

Bezwiednie przytaknąłem.

Siedziałem obok niej, w jej aucie, niczym w plenerowym kinie, oglądając przez przednią szybę znieruchomiły film, jakby w projektorze właśnie zacięła się taśma.

- Pewnie dziwisz się, że ja tak... - wzruszyła ramionami, nie odrywając wzroku od dłoni zaciśniętych na kierownicy. - A jaki miałam wybór? -

obróciła się w moją stronę. - Mama leży od prawie roku. Sparaliżowana po wylewie cała lewa strona. Zamiast słów - bełkot. Tu konieczny jest całodobowy dyżur: podnieść, przebrać, przeprać, podsuszyć, podnieść, pieluchomajtki... Nie mówiąc już o zakupach, przygotowaniu posiłków.... Musiałam przerwać studia, bo już nie wyrabiałam. Pewnie spytasz, co mój stary... stary, nie powiem, chodzi do pracy, nawet robi nadgodziny, jak twierdzi – delikatnie zabębniła palcami w pokrywę klaksonu. - A jak kiedyś powiedziała babcia, znaczy jego matka, „chłop to chłop, co jakiś czas, ale musi sobie ulżyć”... No, a gdyby wpadł na pomysł sprowadzać, co nie daj Boże, jakieś do domu? Niemal na oczach mamy te rzeczy... Wiesz, co to jest wybranie mniejszego zła, no właśnie? Więc siedzę tu i czekam, zwłaszcza, że muszę, bo staremu kilka miesięcy temu zatrzymali na pół roku prawko. Właśnie tu polują na takich jeleni, co... – machnęła z rezygnacją ręką.

Pochwyciłem jej dłoń i odruchowo przycisnąłem do ust. Zaczerwieniwszy się, jak sztubak, aż po koniuszki uszu, wymamrotałem słowa przeprosin.

- OK! - roześmiała się głośno. - Ja też nie wiem dlaczego, ale chyba cię polubiłam. Potrafisz słuchać, a to u was nieczęste. Ach, byłbym zapomniała – oderwała od kierownicy prawą rękę – Laura, a ty, mam nadzieję, Filon?

- Przykro mi, ale niestety nie – po raz pierwszy zobaczyłem jej uśmiech. Był olśniewający.

- Po prostu Paweł.

Wyszli z gąszczy trzymając się za ręce: wypisz-wymaluj modelowa para zakochanych - wprost na okładkę któregoś z plotkarskich tygodników dla pań.

- Bozia wstydu nie dała! – skomentowała Laura, odwracając głowę. - A dla ciebie ona, to kto?

- Andżelika – wzięłam głęboki oddech. - Córka. Jedyna.

W milczeniu pokiwała głową.

- Czas się rozstać, mój nie-Filonie.

Wysiadłem z jej auta, ale nie z jej życia.

\*

Nie wiem dlaczego o tym, czego byłem świadkiem, nie wspomniałem Annie? Czy dlatego, że gorąco mnie o to prosiła nasza ukochana jedynaczka, czy też już coś, jeszcze nieuświadomione, zaczęło kiełkować we mnie?

Historia powtórzyła się w kolejny weekend. Andżelika, mocno objąwszy matkę, poprosiła, aby ją wsparła w namówieniu mnie do powtórnej eskapady na dyskotekę. Czyściła przedpole dla nas obojga, chyba tym nieocenionym kobiecym instynktem wyczuwając, że i mnie coś ciągnie do placu przed dawną pieczarkarnią.

- Od razu wiedziałam, że wpadła ci w oko! - ten jej uśmieszek nie schodził jej z twarzy, odkąd wyjechaliśmy z garażu. - Tatko, przede mną się nic nie ukryje! Ja te feromony, które wokół was zataczały kółka, wyczuwam na kilometr. - Wyprężyła się na fotelu, aż zatrzeszczał zagłówek. - Oczywiście przed mamą buzia na eklerek – złączonymi kciukiem i palcem wskazującym przeciągnęła po wargach.

Nie odezwałem się, zaskoczony tym nie znanym mi jeszcze cynicznym obliczem córeczki. Włączyła radio, szukając muzyki, odpowiadającej jej obecnemu nastro- jowi. Tak, nie zamieniwszy już słowa, dotarliśmy do celu podróży. Do Laury, która, wbrew swojemu imieniu, jak się okazało, nie mogła wnieść w moje życie satysfakcji ze zdobycia czegoś ważnego, cennego, że spotykając się się z nią, nie zyskam laurów, a jedynie co mogę wynieść z tego związku, to duchową rozterkę i skrzętnie skrywane przed najbliższymi cierpienie. To jednak przyszło później, nie tej sobotniej nocy.

\*

- Wiedziałaam, że przyjedziesz z nią – powitała mnie uśmiechem, najpiękniejszym, jaki widziałem w życiu. - Widzę cię i naprawdę nie wiem, czy się cieszyć, czy... - potrząsnęła gwałtownie głową. - Coś mnie do ciebie ciągnie, wiesz, chciałabym, abys mnie słuchał, trzymając za rękę, pragnę, byś mnie mocno przytulał, gdy już zabraknie słów – przygryzła wargi – a jednocześnie wiem, że wtedy bylibyśmy kopią tych dwojga, a nie chcę... - zamilkła, wciąż patrząc mi w oczy. - Dziś nawet nie mogę tu posiedzieć... muszę już jechać, mama jest od rana bardzo niespokojna, powinnam przy niej być – przechylała się szybko w moją stronę i pocałowała w usta. - Poderwała się z siedzenia, gwałtownie otwierając drzwi auta. - Odwieź mego starego. W końcu to prawie twój zięć! Tylko nie za blisko domu, by sąsiedzi nie mieli rano tematu do komentarzy!

Trzasnęła drzwiczkami i nie odwracając się, pobiegła do swojego auta.

\*

Z Anną, przez te wspólnie spędzone prawie ćwierć wieku, układało się różnie – jak w piosence Kory: „falowanie i spadanie”. Przypadek sprawił, że drogi nasze się złączyły. Byłem świadkiem na ślubie kolejnego swego kolegi. Tam ją spotkałem. Ona, kilka lat ode mnie starsza, po nieudanym związku, ja – od kilku lat szukający tej jedynej. Przetkańczyliśmy ze sobą całą noc. Nad ranem doszliśmy do wniosku, że warto spróbować, czy wspólne życie pójdzie równie dobrze jak taniec. Anna zastrzegła, że oferta ta jest łącznie ze ślubem w pakiecie. Było to tak zaskakujące i irracjonalne, że bez wahania... przystałem na jej propozycję. Los od początku nam niezbyt sprzyjał. Anna dwukrotnie poroniła. Lekarze dawali nam nikłą szansę na stanie się rodzicami. Andżelika pojawiła się w naszym życiu po blisko czterech latach usilnych starań, kiedy wszystko, co między nami, stało się rutynowe, nie przynosząc satysfakcji żadnej ze stron. Nic, poza owymi staraniami, zdawało się nas już nie łączyć. Gdyby i tym razem się nie powiodło, najprawdopodobniej rozeszlibyśmy się. Córka stała się dla naszego związku swoistym *modus vivendi*. Ona nas łączyła, jej poświęciliśmy swój czas, ona sama stała się dla nas celem samym w sobie. Jak się później okazało, była bystrym obserwatorem, potrafiącym wykorzystać naszą permanentną rywalizację o jej względy, dla osiągnięcia własnych korzyści. W chwili, gdy poznałem Laurę, przechodziliśmy fazę „opadania”. Byliśmy razem, bo była Andżelika, bo mieszkanie było wspólne, bo każde z nas wydeptało sobie własne, nie krzyżujące się ze sobą ścieżki.

Weekendowa eskapada z córką do *discoclubu* stała się trwałym punktem w harmonogramie moich powinności rodzinnych. Gdy zbliżał się sobotni wieczór, bez dodatkowych wyjaśnień, jednocześnie wychodziliśmy z mieszkania, kierując się w stronę garażu. Anna przyjmowała ten fakt w milczeniu. Jej ścieżka nie wiodła w tę stronę.

\*

Z Laurą tkwiliśmy w tym samym punkcie. Jej samochód był naszą niedostępną dla innych wyspą, na której trzymając się za ręce, rozmawialiśmy o dotychczasowym życiu każdego z nas, o naszych troskach, kłopotach, marzeniach. Zdarzało się, że to ona w nagłym przypiływie emocji przytulała się do mnie gwałtownie, z równą siłą obsypując pocałunkami, lecz gdy chciałem odwzajemnić jej pieszczoty, stanowczo powstrzymywała moje

zamiary, szepcząc „Nie, Pawełku, my nie możemy...”. Któregoś niedzielnego przedświt, gdy tamci wracali znacznie wcześniej niż zwykle, pośpiesznie wychodząc z auta Laury, aby uniknąć styczności z jej ojcem, usłyszałem: „Obojętnie co się zdarzy, wiedz, że nikogo tak nie kochałam, jak ciebie”.

Gdy teraz o tym piszę, zaczynam ją rozumieć. Ona była tu jedyną osobą naprawdę dorosłą, z poczuciem odpowiedzialności za wszystko co tu się działo. Bo nie chciała się upodobnić do tamtych dwojga, nie chciała swoimi czynami dokładać kolejnej cegiełki w tworzeniu, umacnianiu się czegoś, co za fundament miało egoizm i brak odpowiedzialności.

\*

Nie było mi już dane pojechać ponownie na plac przed byłą pieczarkarnią. Po ostatnim naszym powrocie z dyskoteki, Andżelika zamknęła się na klucz w swoim pokoju i nie chciała otworzyć, mimo błagań Anny, by wyszła choć zjeść obiad. Wieczorem chyłkiem przemknęła się do łazienki. Udałem, że tego nie dostrzegłem. Żona była czujna. Objęła wartę przy drzwiach. Gdy Andżelika je otworzyła, wepchnęła ją na powrót, sama podążając za nią. Długo nie dochodził do mnie stamtąd żaden dźwięk. Potem cichy płacz, głośniejący aż do szloch, przerywanego spazmatycznymi okrzykami: „Nienawidzę, nienawidzę go”. Zaległa cisza, Podszedłem do drzwi. Do moich uszu dotarł uspo kajający szept żony. Niedługo potem wyszły razem. Byłem już wtedy w kuchni. Anna, prowadząc za rękę Andżelikę do jej pokoju, rzuciła w moją stronę zimne spojrzenie. Wiedziałem co oznacza - znalazła głównego winowajcę.

Nazajutrz, po powrocie od ginekologa, Anna nie patrząc w moją stronę, oznajmiła: „Przygotuj się z wolna do roli dziadka”. Tego dnia nie było obiadu... ani kolacji. Głodny w końcu skierowałem się ku lodówce. Gdy ją otworzyłem, zapalone światelko wyłowiło z mroku sylwetkę siedzącej przy kuchennym stole żony.

- Gdy się pojawi Wiktoria, nieudolny aniele-stróżu naszej córki, będziesz miał sposobność zrehabilitować się przy wnuczce podczas nocnych dyżurów!  
- Wychodząc, dodała - Dowiedziałam się co nieco o tatusiu Wiktorii. Doszłam do wniosku, że nie zasłużył on na miano ojca naszej wnuczki. Wiktoria będzie więc nosić nasze nazwisko. Oczywiście nasza córka zrywa wszelkie z nim

kontakty, a my ze swej strony także - dodała z naciskiem - nie będziemy go o niczym informować.

Zamknęła temat - razem z drzwiami kuchennymi.

\*

Nie znałem adresu Laury, ani nawet, co po niewczasie sobie uświadomiłem, jej nazwiska. Andżelika, wszelkie me próby zasięgnięcia języka, zbywała milczeniem, gdy zaś wzmocniłem pytanie szeleszczącym argumentem, odezwała się, niczym automatyczna sekretarka: „Zakaz udzielania informacji”. Dopiero kilka miesięcy po narodzinach Wiktorii, którą od początku nazwano Wiką, po kolejnej kłótni z matką, bezskutecznie próbującą wyplenić z niej dawne nawyki, Andżelika podsunęła mi karteluszek z numerem telefonu. Telefonnia komórkowa była jeszcze wtedy w powijakach, zaś rozmowa nieskrępowana ze stacjonarnego w domu monitorowanym przez obie panie, niemożliwa. Pojechałem więc do najbliższego automatu. Odebrał jej ojciec. Nie przedstawiając się, spytałem o Laurę. Po chwili usłyszałem jej głos: „Poczekaj - coś zachrobotało w słuchawce, potem chyba trzasnęły drzwi. - Już jestem! Przez prawie rok cisza i dziś, tak nagle...?” - chciałem jej wytłumaczyć, ale wpadła mi w słowo - “Wyjeżdżam do Warszawy. Za chwilę już tu mnie nie będzie, śpieszę się, więc w skrócie: mama zmarła przed miesiącem, więc moja tu służba dobiegła końca; stary nawet nie wie, że powtórnie został ojcem, a ja mam siostrę.”

- A my? – zdołałem wykrztusić.

- Nic nie trwa wiecznie, Pawełku. Nie ma już my, tylko ja i ty, niech tak zostanie – szum w słuchawce wzrastał, to opadał. W końcu przebił się przezeń jej zniekształcony głos. – A zresztą powiedz sam: czy wypadałoby kochać się z dziadkiem własnej siostry?! Opiekuj się nią. Wybacz, ale już muszę ... Żegnaj, Pawle!

Odłożyła słuchawkę. Stałem pod plastikowym daszkiem automatu ze słuchawką przy uchu.

Zza pleców doszedł do mnie męski głos: „Skończył pan?!”

Kiwnąłem twierdząco głową, oddając słuchawkę.

\*



Od tamtego dnia minęło ćwierć wieku. Była to dla mnie „epoka Wiki” - dziś równie pięknej i dojrzałe mądrej, jak tamta – dziewczyna z placu przed pieczarkarnią...

\*

Wika, od kilku już lat mieszkająca na stałe na Sycylii, na tydzień przyjechała w rodzinne strony i zamieszkała u mnie.

- Wiesz, chyba się starzeję – w przeddzień powrotu do swego ukochanego Lorenza, przysiadła się do mnie na sąsiednim fotelu. - Czy nie miałbyś nic przeciw temu, gdybym trochę pomyszkowała w poszukiwaniu czegoś, co mi by przypominało dawne czasy?

Popatrzyła na mnie z tym swoim, tak dobrze mi znanym, uroczym szelmowskim uśmiechem. Wykonałem jakiś gest, który ona odebrała jako przyzwolenie i pocałowałwszy mnie w przelocie w czoło, pobiegła na piętro. Po chwili doszedł do mnie odgłos spuszczenia składanej drabinki, po której wchodziło się na strych. Akurat była przerwa reklamowa w oglądanym filmie, gdy z góry rozległo się:

- Mógłbyś mi, stary człowieku, pomóc zejść!

Jak mógłbym odmówić, usłyszawszy tak miłe mym uszom wezwanie. Podała mi przez otwarty właz duże pudło. Z trudem postawiłem je na podłodze, czując, że znów się odezwały mojej ukochane korzonki. Zeszła po drabinie i zatrzasnęła kłapę.

- Ty naprawdę się starzejesz.– zrobiła krok w tył, przyglądając mi się bacznie. - Wyglądasz jak pokrzywiony żydowski paragraf - objęła mnie mocno. – I tak cię będę kochać!

Chwyła karton i zniknęła w pokoju, w którym nocowała. Spotkaliśmy się przy kolacji. Zauważyłem, że parę razy dyskretnie spojrzała w moją stronę, lecz gdy odwróciłem głowę w jej kierunku, udała że tego nie widzi, zabawiając się sztuczkami. Tą grę w ukradkowe spojrzenia prowadziliśmy aż do chwili, kiedy bez jednego wypowiedzianego słowa, wstaliśmy niemal równocześnie od stołu. Przeszła od razu do zlewu, wkładając doń naczynia do pomycia. Gdy zapełniła suszarkę, wziąłem do rąk ścierkę, by jak dawniej, wytrzeć wszystko do sucha.

- Daj spokój! - wyciągnęła mi z dłoni tę kraciatą szmatkę, z taką delikatnością, jaką mają w sobie kobiety, gdy kogoś kochają. Z taką samą,

jąką, przed blisko pół wiekiem, obdarzała mnie jej babka. - Później sama powycieram - ujęła moje ramię, wreszcie uśmiechając się, jak to ona, tajemniczo. - Chcę ci coś pokazać.

Podążając za nią, z trudem gramoliłem się po schodach, asekuracyjnie trzymając się poręczy. Obejrzała się przez ramię.

- Coś niesporo, stary człowieku, ci to wychodzi!

Cóż mogłem odrzec. Wzruszyłem ramionami. Poczekala, aż pokonam ostatni stopień.

- Santa Madonna! Co to z tobą będzie, kiedy wyjadę - objęła mnie w pól.

- Gdyby jeszcze babcia żyła... Andżelika tu do ciebie przyjeżdża?

- Czasem aż za często. Jestem dla twojej matki przymusowym wysłuchiwaczem wszystkich miejscowych ploteczek - wprowadziła mnie, nie wypuszczając z objęć do swego pokoju. - Głowa nieraz mnie boli od tego jej gadania! Westchnęła ze zrozumieniem, wskazując miejsce na kanapie.

- Poodychaj trochę spokojnie, a ja tymczasem to wyszukam! - przesunęła na bok biurka piętrzącą się tam stertę pomieszanych bezładnie drobiazgów. Kilka z nich spadło na podłogę, ale nie zważała na to, zajęta segregowaniem znajdujących się tam także fotografii. - O, to te! - przysiadła się do mnie, wyrównując trzymany plik zdjęć. Na każdym była ona – w różnym wieku. Z nią – żona lub ja. Ja rzadziej. Byłem głównym „operatorem” Kodaka. Tylko na jednym, tak jakby nie zdążyła na czas usunąć się z kadru, była jej matka.

Nigdy nie nazwała Andżeliki matką. Zauważyłem ostatnio, że traktuje ją, jakby była jej młodszą, niezbyt pojętą koleżanką. Gdy raz kiedyś ją spytałem o przyczynę, spojrzała mi w oczy i pokręciła z rezygnacją głową. „Nie udała się nam, dziadku, ta dziewczyna” - dodała z westchnieniem. Tak, czasem nachodziła mnie myśl, że to Wika powinna być matką Andżeliki.

Wikę, faktycznie, traktowaliśmy z żoną, jak własną córkę. Kiedy jej matka była w pracy lub w poszukiwaniu, jak to kiedyś sama określiła: „życiowego szczęścia”, to żona przejmowała opiekę nad ukochaną wnusią. Wika często chorowała w dzieciństwie, więc gdy wracałem do domu, wsiadałem z powrotem do auta i w trójkę rozpoczynaliśmy kolejną wyprawę do któregoś z jej lekarzy. Później byłem jej korepetytorem, choć na ogół nie miała problemów z nauką. Była naszą radością, pozwalająca zapominać o dolegliwościach umykającego czasu. Anna nie mogła się pogodzić z faktem wyjazdu na stałe

ubóstwianej wnuczki. Dom nasz stał się jakiś mroczny, wypełniony ciszą, w której błąkało się dwoje starzejących się ludzi. Anna gasła w oczach, jakby straciła chęć do dalszej wspólnej wędrówki. Wszelkie moje słowa zachęty przyjmowała z nikłym uśmiechem. Wika wróciła – na jej pogrzeb. Dawno już nie widziałem tak płaczącej dziewczyny.

Otrząsnąłem się ze wspomnienia tamtego dnia. „Wybierz sobie jakie chcesz” - oddałem Wice plik trzymanyh fotografii. Odłożyła je na róg biurka, po czym klękła na podłodze, przyciągając do siebie duże kartonowe pudło, które z takim trudem znieśliśmy ze strychu. Spostrzegłem go pierwszy. Leżał na wierzchu. Wika też zwróciła nań uwagę. Podniosła go w obu dłoniach i zdmuchnęła pokrywający go kurz. Przeczytała na głos napis z nalepki: „Nigdy nie wspominałeś, że układałeś krzyżówki”.

Była najwyraźniej zaskoczonatym odkryciem. Zaczęła kartkować trzymany brulion. „Te diagramy to chyba ręcznie były rysowane?”. Jak zawsze była spostrzegawczą osobką. „Zgadza się - uśmiechnąłem się, patrząc na odsłaniane przez nią kolejne kartki. - Czasem to rysowanie, najpierw w ołówku, później zaś tuszem, zajmowało więcej czasu, niż samo ułożenie krzyżówki”. Kartkowała dalej, z niedowierzaniem kręcąc głową. Była już pośrodku brulionu, gdy z właśnie otwartej strony odpadł wycinek gazety z kolejną moją krzyżówką. „W szufladzie chyba widziałam tubkę z odrobiną kleju”. Faktycznie. Z pewnym wysiłkiem odkręciła przyschniętą zakrętkę. Odwróciła na spodnią stronę wycinek gazety z krzyżówką... i zamarła bez ruchu. „Popatrz tylko!” - wykrztusiła. Na odwrocie znajdował się odcięty fragment tekstu i zdjęcie kościoła. Byłem zaskoczony jej reakcją. „Kościół... jak to kościół...”. Spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami. „Tu... czytaj” - stuknęła palcem na fragment tekstu pod zdjęciem. Kościół parafialny w SZARADOWIE!” - głośno zaakcentowała tą nazwę. „Dziadku, nie uważasz to za co najmniej dziwne: w zeszycie pełnym zadań *szaradziarskich*, bo tak chyba nazywają się krzyżówki, odkleja się ta właśnie, na której odwrocie jest coś, co w nazwie łączy się z całą zawartością brulionu”. Położyła swe dłonie na mych ramionach, patrząc mi w oczy: „Nie uważasz, że to *znak*?!” Znałem ją na tyle dobrze, że byłem pewny, iż traktuje to bardzo serio. Milczeliśmy chwilę, bo nie bardzo wiedziałem, jak zareagować na to jej „odkrycie”.

„Wiesz co, stary człowieku – odezwała się wreszcie – wiem, że jesteś w takich transcendentnych sprawach raczej sceptykiem... ale, jeśli mnie kochasz, jako mi powiadasz, to zrób wyjątek w swych niezłomnych zasadach i przyrzeknij, że jak przylecę tu jesienią, to wybierzesz się ze mną do tego Szaradowa – ścisnęła mocniej me ramiona - i nie będziesz się zastanawiał, czy to ma jakiś sens, zgoda?” I cóż mogłem począć. Ostatniej miłości mego żywota nie potrafiłbym odmówić.

-----  
*Nie pojechaliśmy do Szaradowa. Ja za to przyjechałam dwa miesiące wcześniej, niż to sobie zaplanowałam. Na pogrzeb dziadka. Nie było nas zbyt wielu wokół świeżo wykopanego grobu – parę osób rodziny, ze strony babci. Z dziadka – nikogo. Po prostu był ostatni rodu, jak mawiał. Andżelika, która potrafiła zapłakać z byle powodu, zwłaszcza, gdy zaczęła uważać nad sobą, uwieszona na ramieniu swego partnera, była bardziej zainteresowaną nim, niż tym co się działo wokół.*

*Tylko ona, stojąc kilka kroków dalej, nie kryła łez. Spostrzegła, że na nią patrzę. To byłam ja, tylko starsza, dojrzała. Wpadłyśmy sobie w ramiona. „On od nas nie odszedł – szepnęła, podając mi rękę na pożegnanie. - Ja wciąż czuję dotyk jego dłoni”.*

*Wróciłam do domu mego dzieciństwa. Nie zdziwiło mnie to, że jedyna córka tatusia, jak się przy innych lubiła nazywać, zdążyła się już tutaj przenieść, wraz ze swoją kolejną „ prawdziwą, wielką miłością”, z wynajmowanego w sąsiedniej miejscowości mieszkania.*

*W pokoju dziadka odpaliłam kompa. Nie miał zwyczaju zabezpieczania swoich plików własnym kodem. Tuż przed śmiercią przysłał mejla, że coś zaczął pisać. Szczegółów nie zdradził. Nawet nie musiałam szukać. W katalogu: „Dziadek Wiki”, widniał tylko jeden plik - oznaczony gwiazdką. Otworzyłam. Cały dziadek! U góry strony, centralnie, czcionką z boldem, tytuł: **W drodze do Szaradowa**. Mimo woli uśmiechnęłam się, jakby tu siedział przy mnie.*

*Szybko pochłonęłam te niecałe dziewięć stron... Potem przegrałam wszystkie jego pliki na pendrive'a i wyczyściłam dysk laptopa. Sam laptop był mi niepotrzebny. I tak często przed odlotem stąd poddawałam ostrej selekcji to, co pakowałam, by nie mieć „nadbagażu”*

*Tych jego krzyżówek nie pamiętam. Zresztą nawet bym nie mogła. Ostatnia, wklejona do brulionu, wydrukowana została ponad rok przed moim przyjściem na świat. Dopiero ten odnaleziony na strychu brulion, odkrył nieznaną mi cząstkę dziadkowej działalności. Powróciło z pamięci echo słów, które tkwiły tam od dzieciństwa. Babcia spytała go, dlaczego już nie układa krzyżówek. „Bo mnie teraz na to stać!” odpowiedział, jak to on, tonem, z którego trudno było odgadnąć, czy mówi poważnie, czy też żartuje.*

*Na zawsze w mej pamięci pozostaną dobranocki, kiedy w nałożonej mi przez babcię piżamce, sadowiłam się na jego kolanach i wtulałam się w pachnący lawendą dziadkowy sweter. Wtedy nie bałam się niczego. Nawet najstraszniejszego smoka czy złej czarownicy.*

*\* \* \**

*Andżelika użyczyła mi auta „swojej wielkiej miłości”, choć ten, co nie uszło mej uwadze, niezbyt chętnie na to przystał. Do Szaradowa było niespełna dwieście kilometrów. Dzień pochmurny, ale z nieba nie spadła ni jedna kropla. Dotarłam tam tuż przed południem. Zanim udałam się na plebanię, by zamówić mszę za spokój duszy Dziadka, obeszałam wokół XIX-wieczny kościół, z wieżą dzwonnicy, pokrytą spatynowaną miedzianą blachą. Był taki sam, jak na zdjęciu z brulionu, tylko otaczające go drzewa były wyraźnie wyższe, okazałszy się. One także musiały się poddać nieubłaganemu dla wszystkich upływowi czasu. Po wyjściu z plebanii, wstąpiłam do wnętrza świątyni. Rozproszone światło, po przejściu przez witraż, kładło się barwną, ciepłą plamą na ścianę bocznej nawy kościoła. Zamknęłam oczy. Był, czułam, że był tutaj, ze mną, w Szaradowie. I zrozumiałam, że nie możemy być, Laura i ja, tymi jedynymi, które będą nieść pamięć o Nim.*

*Może w oczach innych niczym szczególnym się nie wyróżniał, ale dla mnie był kimś niezwykłym, był najbliższym mi człowiekiem, którego sweter, tak jak cały czas przy nim, niósł uspokajającą woń lawendy. Byłam mu to winna. Dlatego musiałam dokończyć tę jego opowieść o drodze do Szaradowa, by poznali ją i inni.*

*Bo może i Wam kiedyś będzie dane podziżyć, jak ja i mój Dziadek, do swego Szaradowa...*

**Jerzy Kozerski**

## **Ale byliśmy „Odessa”**

Nazywaliśmy się „Odessa”. Skład mały, bo była nas tylko piątka, ale radziliśmy sobie całkiem nieźle. Powstaliśmy w blokowej piwnicy Staszka po kilku głębszych, kiedy masz już wszystkiego dosyć, ale wciąż jeszcze zmieścisz jedną kolejkę, a kłęby dymu przysłaniają ci, z kim teraz się obściskujesz do melodii „Kryzysowej narzeczonej”. Każde z nas w końcu chciało dać upust swojej piętrzącej się latami frustracji, a muzyka była do tego celu wykorzystywana już od wieków. Mieliśmy po kilkanaście lat, co nie zmieniało faktu, że byliśmy w pełni świadomymi obywatelami, a nasze oczy nie były zamknięte, a uszy nie były głuche. Obojętność nie szła w parze z naszą naturą, zwłaszcza Pawła - naszego perkusisty. Ten to zawsze lubił wykrzyczeć, co mu nie pasuje, na co pluje, a co ma głęboko w nosie, a trzeba przyznać, robił to wyjątkowo dosadnie i głośno, bez zahamowań i resztek przyzwoitości, przez co skazywał nasz zespół na wieczne kłopoty, a swoją matkę na permanentne zawały. Mieliśmy plan, naiwne marzenia i kipieliśmy dziecięcą naiwnością spełnienia. Ciała płonęły, umysły parowały, a słowa potokiem wylewały się z ust - manifest dzieci pokrzywdzonych niedoborem pomarańczy, krzywej historii i czarnych okularów. Stan zawieszenia, z którego każdy chciał już wyjść, choćby pełzając, trwał nieprzerwanie. Ze szkieł krzychało: ewaporacja, inwigilacja, socjalizm, a my w odpowiedzi darliśmy się, ile sił: wolność, prawda i DE-MOK-RAC-JA. Zaburzenie komunikatu obustronne, kanał przekazu pomyłony, kod tym bardziej, nadawca i odbiorca dalecy od porozumienia.

Na początku wszystko działało się chaotycznie, każdy chciał być gwiazdą, ale nikt nie wiedział jak. Gdzieś na szczytach naszych wyobrażeń było trasa koncertowa po Europie, ba po całym świecie, tłum fanów skandujących nasze teksty. Chłopcy, aby podbudować swoje ego, marzyli jeszcze o jakichś dziewczynach pod sceną. Chcieliśmy żyć od koncertu do koncertu, rytm dnia miały

wyznaczać niekończące się domówki, a w naszych żyłach miały płynąć litrami i kilogramami substancje surowo zabronione. Zatracać się w muzyce i być ledwo świadomym tego, że jutro jest dzień było naszym marzeniem. Niemniej przyświecał nam jeden cel: nie dać się tej pieprzonej rzeczywistości z szarym blokiem, szarą ulicą, szarym płaszczem i szarymi, filcowymi butami, przez które Paweł cały czas chodził zakatarzony. Krzyczeć głośno, zawzięcie i bez opamiętania. Sklejani nadzieją, która tylko z pozoru jest matką głupich, staraliśmy się tchnąć w ludzi ducha, ducha, który kiedyś uleciał, ale krążył w pobliżu, gotowy w każdej chwili wrócić i „odnowić oblicze ziemi, tej Ziemi”.

A więc była nas piątka. Był Eustachy, nasz gitarzysta, który mówił mało, a otwierał się tylko po dwóch browarach. Był Paweł, perkusista szaleniec, którego szczerze powiedziawszy trochę się bałam, ale potrafił niezłe walić w te gary, więc szacunek nas wszystkich i całej dzielni miał. Był Stasiek, basista z przypadku, ale bardzo miły i uczynny chłopak, niebываły talent otwierania kapsli o kaloryfer. Był jeszcze Grzesiek, nasz drugi gitarzysta, który, chcąc nie chcąc, był moim starszym bratem, ale za to jakim! Z nim to żaden mi nie podskoczył. Dzięki niemu poczułam smak alkoholu. Swoją pierwszą lampkę wina – taniego „jabola”, mając niespełna lat szesnaście. No i właśnie byłam ja - Jadźka, która nieudolnie próbowała naśladować Korę, brzmiąc przy tym raczej po prostu jak Jadźka z chrypą. Wszyscy znaliśmy się z osiedla i to już od paru ładnych lat, ale dopiero rok temu „Odessa” narodziła się jako pomysł, bo z realizacją to też trzeba było swoje odczekać. Najpierw to się Paweł wykręcał, że na maturze się musi skupić, potem Stasiek coś mrucał, że to nie jego klimaty, a potem to ja sama zaczęłam wątpić w swój głos, w całe przedsięwzięcie i w jakikolwiek sens wyrażania siebie. Ale koniec końców udało się. Byliśmy. Istnieliśmy. Trwaliśmy.

Pewnej lipcowej, szalenie gorącej nocy Grzesiek odebrał telefon. Nadarzyła się okazja, której nie mogliśmy zmarnować. Jeden z elitarnych klubów w mieście w każdy piątek organizował koncerty młodych kapel. Wystarczyło mieć swój sprzęt. Co do repertuaru - dawali wolną rękę. Żyć nie umierać! Masa pomysłów, zapał do pracy i wiara w to, że się uda. Bez wahania podjęliśmy decyzję, że gramy, choćby nie wiem co! No i zaczęły się próby. Spotykaliśmy się w każde wtorki i soboty, nie przyjmowaliśmy żadnych wymówek. Albo angażujesz się i wchodzisz w to całym sobą, albo spieprzasz. Tak działał

świat, a my tych reguł posłusznie przestrzegaliśmy również we własnym, kameralnym gronie. Każde z nas chciało zagrać coś innego. Grzesiek obstawał przy klimatycznej balladzie, Stasiak z Pawłem chcieli prowokować, a ja i Eustachy pozostawaliśmy bierni wobec ich przepychanek i nieśmiało proponowaliśmy coś zachodniego. Koniec końców czasu nie było dużo, więc ostateczną decyzję podjął Staszek, bo tylko on potrafił być ponad to. Nikt nie protestował. No i tak się zaczęło.

Przygotowania do tego występu były jak pierwsze randki, te nieśmiałe, pełne znaków zapytania i ogromnej ilości stresu. Docieraliśmy się kosztem krzyków i niezliczonej ilości kłótni. Każde z nas przynajmniej tysiąc razy mówiło, że to pierdzieli i że ma dosyć. Każde z nas z dnia na dzień traciło siły. Ale po to właśnie był zespół, żeby się umacniać. Jak Paweł zerwał z dziewczyną, mylił wszystkie akordy, ale z minuty na minutę piosenka wychodziła coraz lepiej. Kiedy Eustachy miał katar i wszystkie słowa piosenki brzmiały jak echo dla jego kichnięć i tak wychodziliśmy z próby pełni energii, która rozsadała od środka i nie potrafiła się w niczym zatrzymać. Uczyliśmy się akceptacji i poczucia jedności. W naszym zespole nie było miejsca na solowe gwiazdki, każdy z nas był inny i tą indywidualność było czuć na kilometr, ale do cholery jasnej byliśmy „Odessą”!

Jako głupia nastolatka byłam łatwym łupem manipulacji. Owszem miałam własne zdanie, ale nauczyciele doskonale wiedzieli, jak skutecznie uświadomić mi jego mylność. Tym sposobem z grzecznej dziewczynki wyrosłam na potwornie niegrzeczną kobietę. Do bólu ortodoksyjni rodzice też mieli w tym swój udział. Po latach bycia tą idealną, tą nieskazitelną miałam dosyć, tym bardziej, że ówczesna Polska prowokowała do tego, żeby spróbować, jak to jest być niepokornym. Pragnienie wyróżnienia się w tym morzu szarych twarzy, szarych oczu i szarych łez było udziałem wszystkich. Nie trzeba było mieć od razu irokeza, czy nieprzyzwoitej ilości metalu w swoim ciele. Wystarczyło mieć odwagę, żeby powiedzieć, że coś jest białe, kiedy wszyscy mówili, że coś jest czarne. Pewnie gdyby nie zespół, to dalej nie wiedziałabym, o co tak naprawdę należy walczyć. Praca z ludźmi, którzy cię rozumieją i dzielą swoją pasję, potrafi uskrzydlać. Dzięki tej sile potrafisz przetrwać całe siedem dni.

Po latach życia w systemie „jestem, ale mnie nie ma”, każdy z nas wiedział, jak szeptać, żeby było głośno. Umieliśmy się bić i pyskować. Wiedzie-



liśmy, jak chodzić, żeby nikt nie widział. Każde z nas osobno podpisało pakt z Bogiem i z diabłem, tylko każdego dnia kto inny ubierał nas w humor. Moralność, etyka i kultura to kwestia czysto hipotetyczna. Chciało się skończyć z paleniem i ze sobą jednocześnie. Kieszenie wypchane szarymi ulotkami i zapalniczka obowiązkowo. Z pustych butelek budowaliśmy wieże, które wpuszczały zielone światło nadziei. Umieraliśmy każdego dnia.

O dziwo, mieliśmy na tyle odwagi, żeby zmartwychwstać kolejnego. Żywiliśmy się tym wątpliwym powietrzem i chlebem, suchym chlebem empatii, który łączył nas wszystkich w kraju – naszym zniewolonym kraju. I oto nadarzyła się szansa na wolność. Marzenia, jak nigdy wcześniej, przybierały niebывale kształty i były w miarę sprecyzowane, a było ich niezliczenie wiele. Stawałeś na szczycie góry i czułeś „to”. Nie miałeś w sercu nic, nic od lat, ale nie przeszkadzało ci to, bo byłeś w stanie znieczulicy. Nic nie widzę, nic nie słyszę, nic nie mówię. Gdy o pierwszej nad ranem wracałeś do domu, czułeś się jak na krawędzi życia. Balansowałeś na niej, raz się udawało, a raz spadałeś w przepaść. Miałeś gdzieś zakazy, a w podświadomości tkwiło, że twoje człowieczeństwo już upadło, albo zostało ci siłą odebrane. Widocznie za słabo się broniłeś. Albo przeciwnik był zbyt silny. Zawsze miałeś możliwość wyboru, tylko żadna z dróg cię nie satysfakcjonowała. Teoretycznie to twój problem. Ale cały czas coś się nie zgadzało. Nie ja powinnam tu być. Nie ten czas, nie to miejsce, nie ta ja. Światła paliły się zawsze, uszy słyszały zawsze, niewygodnie z własnym ja czułeś się też zawsze. Mogłeś płonąć, ba nawet się spalać, a i tak nikt ci ręki nie podał. Taki był klimat, taka była pogoda, taki był stan. Nie miałeś na nic realnego wpływu, mogłeś się ludzić, że swoim głosem coś zmienisz, ale to była znowu tylko ta głupia nadzieja.

Zaczynałeś kolejny dzień, z roku na rok starość goniła twoje poczucie młodości, twoja egzystencja wciąż trwała. Chodziłeś do spółdzielni mieszkaniowej, do sklepu po bułki i do szkoły, żeby nawrzucać innym, że mają równie źle jak ty. Myślałeś o niej, o nim, o was. Jedna jaźń w dwóch ciałach, w tamtych czasach rzecz niezwykle ważna, a jakże cenna, pożyteczna i przede wszystkim praktyczna, jak nie masz szluga, to ja ci dam. Taniec był szybki, ruch był dynamiczny, ekspresja – lekko nieudolna, muzyka - obojętna. Potem marzełeś na klatce, bez niczego, nawet bez butów. Obnażałeś się każdego dnia,

zrzuciłaś z siebie wszystko to, co brudne, stawałaś nago i nie budziło to w tobie żadnego wstydu, w końcu pochodzisz z rodu tej grzesznej Ewy. Jak struna poszła, struna pękła, to struny nie było. Trudno było wtedy być, trudno było pamiętać. Niedomówienia, szept i chore słowa zamieniane w zalewające potoki.

Kiedy nadszedł w końcu ten dzień, dzień tak długo przez nas wszystkich wyczekiwany, żadne z nas nie czuło się na siłach, żeby wyjść na scenę, zagrać i zejść. Pawłowi leciała krew z nosa, Eustachy znowu był przeziębiony, Staszek się wszystkim denerwował, a ja i Grzesiek byliśmy okrutnie niewyspani, bo ojciec znowu wrócił do domu pijany i awanturował się do trzeciej. Ale byliśmy „Odessa”. Wierzyłam w to, że wyjdziemy na scenę i wszystko się uda, wszystko pójdzie tak, jak chcieliśmy, poczujemy to satysfakcjonujące zmęczenie i odrodzimy się na nowo. Potem pójdziemy na jakieś piwo i dzień, ten dzień przejdzie do historii tak jak całe nasze życie. Jak bardzo się wtedy łudziłam i jak bardzo myliłam, okazało się już niebawem.

W klubie było ciemno. Dym kłuł w oczy, kości się kruszyły, a myśli momentalnie zwalniały. Światło wątle, zapach alkoholu, ten gorzki i tak dobrze znany smak czuło się od samego wejścia. Ludzie siedzący na kanapach, na ziemi, na krzesłach. Ludzie pod sceną, dużo ludzi pod sceną. Na twarzy Pawła dało się dostrzec tak nieumiejętnie skrywaną panikę. Adrenalina rosła wprost proporcjonalnie z kortyzolem. Ludzie z łapanki, ludzie z przypadku, ludzie inni niż ty. Jakby świat z ulicy wlał się w te cztery ściany i oddychał w jednym rytmie. Była Maryśka, ale była też Zośka i Anka. Już nie czułam się najpiękniejsza. Każdy miał swoje troski, swoje sprawy, swoje problemy, swoje bóle i swoje skarpetki, ale tutaj zlewało się wszystko w jedno. Gwiazdy tworzyły nowe konstelacje całe od kurzu i brudu. Słysząc było śmiech, zjawisko kiedyś powszechnie spotykane. Duże czarne skórzane kurtki, dzins z hali i ćwiek wbijający się w moją skórę na łopatkę. Mogłeś być magistrem, mogłeś być idolem, albo tylko człowiekiem. Aż człowiekiem. Do świtu nikt się z tego miejsca nie miał zamiaru ruszać. Słońce miało nas przywitać, nie na odwrót. Paszport niepotrzebny, dowód niepotrzebny, legitymacja, jaka legitymacja? Czego się napijesz? Piwo czy coś mocniejszego? Skąd jesteś, gdzie mieszkasz, pesel, imię matki? Serce biło szybko, biło mocno, więc teraz wiedziałeś, że żyjesz. Objuczeni sprzętem jak wielbłądy, wtoczyliśmy się na scenę. I się zaczęło!

Godzina dwudziesta pierwsza z minutami. Ostatni raz spojrziałam na Staszka, czułam się tak, jakbym patrzyła w siebie. Lekki uśmiech. Jest dobrze, będzie dobrze, damy radę - pomyślałam. Jeszcze rzut oka na Grzeska i Pawła. Eustachy patrzył w sufit, jakby coś przeczuwał, a może się tylko koncentrował. Sięgnęłam po mikrofon. Wyśpiewałam słowa „wolność, kocham i rozumiem” z taką świadomością, że przestraszyłam się siebie samej. Tłum milczał, ale cisza ta mówiła więcej niż miliony słów, bo każde z nas czuło tak naprawdę to samo, tylko nieliczni umieli to nazwać. Znaczyliśmy mniej niż zero, ale każde z nas miało ochotę na czekoladę. Dźwięki roznosiły się klarownie po twarzach, na których malował się błogostan, a ja śpiewałam i śpiewać mogłam jeszcze długo, ale skutecznie mi przerwano.

Wpadli zomowcy, zrobili bajzel i wyszli, zabierając nas ze sobą. Była afera i były fajerwerki, na policzku miałam ślad czyjejś ręki, pojęcia tylko nie miałam czyjej. Grzesiek miał plecy poorane od tych pieprzonych pałek, a Eustachy zdezorientowany jak dziecko nie wiedział, co się dzieje. Ludzie się przepychali, uciekali, dopijali swoje piwka, zakładali kurtki, pospiesznie odwracali wzrok. Niektórzy, zwłaszcza ci, którzy nie czuli oddechu strachu, też zaczęli młócić rękami na prawo i na lewo. Jeden niebieski tak dostał w łeb, że osunął się po ścianie na podłogę. Gitara Staszka leżała na środku sceny, tuż przy mojej stopie, zanim ktoś nie zepchnął mnie na ziemię.

Komisariat był szary. Funkcjonariusze zmęczeni. My głodni. W powietrzu unosił się zapach parzonej kawy, tanich papierosów i kurzu. Jarzeniówka przyświecała wątlym, białym światłem, które kłuło w oczy. Jeden z milicjantów miał w ustach Popularnego, z którego ulatywał kłębiący się dym. W tle dało się słyszeć bzyczenie muchy, która co jakiś czas siadała na parapecie okna. Krzesła były niewygodne, oczy piekły ze zmęczenia, a w ustach czułam metaliczny posmak krwi. Nawet nie zorientowałam się, że mam rozciętą wargę. Moja biała koszula śmierdziała piwem, które ktoś na mnie wylał. W lewej dłoni kurczowo ścisiskałam kostkę do gitary wyciętą ze starej płyty-pocztówki. Grzesiek chciał do łazienki, ja się bałam, że będą musieli po ojca dzwonić, a on nawet nie będzie w stanie z nimi rozmawiać, bo pewnie już leży w jakichś krzakach. Eustachy nic nie mówił. Był przekonany, że od tego, co powie zaleć będzie jego życie. Paweł nerwowo przebierał palcami, a Staszek... Staszek uparczywie wpatrywał się w zegar, wiszący na jednej

ze ścian. Wtedy jeszcze nie wiedział, że to jedne z ostatnich chwil na jego drodze.

Wypuścili nas po kilkunastu godzinach. Nie wiem jak. Wiem, że słońce wtedy chyliło się wolno ku zachodowi, oddając nam hołd. Wyszło nas czworo. Każde z nas inne, każde z nas ze świadomością, że nic nigdy więcej nie będzie już takie samo. Zrozumieliśmy prawdę, której tak długo nie chcieliśmy do siebie dopuścić. Wszystkie ptaki w Polsce wymarły. Ich zwłoki wały się na ulicach, deptałeś po nich, jak szedłeś do lekarza, potykałeś się o nie, jak szedłeś do urny. Byliśmy „Odessa” - „Odessa’86”.

\* \* \*

Teraz siedzę wygodnie w moim ulubionym welurowym fotelu na poddaszu mojego domu. Żyję w wolnym kraju, z wolną duszą i wolnym umysłem. Mam pięćdziesiąt jeden lat, trójkę dzieci i męża, który nie powinien nim być. Jestem prokuratorem i większość swojego życia spędzam albo w kancelarii, albo w sądzie. Moja najmłodsza córka ma dziewiętnaście lat i za chwilę zostanie w tym ogromnym domu sama. Babcią jeszcze nie jestem. Kiedy Lenka się wyprowadzi, moje małżeństwo pewnie umrze śmiercią naturalną, Jakub się wyprowadzi, a ja we względnym spokoju będę mogła się oddać powolnej wegetacji. „Odessa” umarła w dziewięćdziesiątym pierwszym, gdy byłam na pierwszym roku studiów. Każde z nas rozeszło się w swoją stronę i zostało kimś ważnym. Straciliśmy poczucie jedności, uważaliśmy, że w życiu trzeba czegoś więcej niż spełnienia. Na własną odpowiedzialność wybraliśmy krawaty za szubienice. Bez Staszka czuliśmy się jak dzieci we mgle, które zapomniały, po co tu są. Każde z nas jest w innym zakątku świata, każde z nas jest w innym miejscu na tej długiej i cholernej drodze zwanej życiem, każde z nas ma już inny cel. „Odessa” nie była już nami, jako zespół. „Odessa” żyła w nas jako wspomnienie, „Odessa ‘86”.

Co tydzień odwiedzam grób Staszka. Staszka, który miał być moim mężem. Staszka, który miał być ojcem moich dzieci. Staszka, przy którym miałam stać się piosenkarką. Staszka, z którym miałam spełniać marzenia. Staszka, którego kochałam i wciąż Kocham. Staszka, który nauczył mnie i całą „Odessę”, że czas, to szansa dla wolności.

*Olivia Lejman*

## Mistrz i jego uczeń

Jaskółka przysiadła na gałęzi drzewa wiśni, trzepocząc cichutko skrzydełkami. Miriam obrócił się, aby przyjrzeć się zwierzęciu. Sięgnął po aparat, który zawsze był zawieszony na jego szyi i wycelował obiektyw w jaskółkę. Pstryknął zdjęcie w idealnym momencie – kiedy ptaszek zerwał się do lotu.

- Miriam, skup się!

Chłopiec odwrócił się do Mistrza, spoglądając na niego ze skruchą.

- Przepraszam, Mistrzu.

- Twój kompletny brak uwagi kiedyś cię zgubi.

- Wiem, Mistrzu.

- Na czym my to skończyliśmy... - zastanawiał się Mistrz, wertując wzrokiem stronicę potężnej księgi, którą trzymał w dłoniach. Chyba nie tylko ja mam problem z uwagą, pomyślał Miriam.

- Ćwiczyliśmy ożywianie obrazków - powiedział chłopiec.

- Ach, tak... już pamiętam - stary Mistrz wyciągnął z kieszeni długich spodni rysunek, przedstawiający młodego pegaza. - Spróbuj dać mu życie - polecił. - Daj mu barwę, kolor oczu, wzrok, słuch i umiejętność chodzenia. Spraw by mógł polecieć.

- To za trudne - powiedział Miriam, lecz wyciągnął dłoń przed siebie i palcem zaczął obrysowywać starannie narysowanego pegaza. Zamknął oczy.

- Nadaję ci życie z możliwością jego straty. Na moje słowa zaczniesz widzieć, słyszeć, czuć, chodzić, latać - wyszeptał. Kontury pegaza zajaśniały zielonym kolorem. - Teraz stanę się twoim stwórcykiem, a ty moim stworzeniem... - chłopiec zawahał się... - od teraz pozostaniemy sobie wierni i złączeni do śmierci. Nakazuję ci się ożywić, Pegazie!

Zielone światło wystrzeliło do góry. Ogień wypalił w kartce figurę pegaza, pozostawiając resztę papieru gładką, bez szwanku. Kiedy ogień zmniejszył się, oczom Miriam ukazał się siwy prawdziwy Pegaz. Stworzenie otworzyło

oczy, mrugając parę razy, jakby nie dowierzało, że żyje naprawdę. Miriam uśmiechnął się, wyciągnął ręce przed siebie, a ufne stworzonko od razu do niego podbiegło, wiedząc, że nic mu nie grozi ze strony tego chłopca. Miriam poczuł się, jakby w końcu zdobył prawdziwego przyjaciela.

- Miriam - z radosnej chwili wyciągnął chłopca Mistrz. - Pomyliłeś się czy zrobiłeś to umyślnie?

Chłopiec spuścił wzrok.

- Wiedziałem, co robię. Spodobał mi się twój rysunek, więc sprawilem, że już na zawsze będzie mój. Aż do śmierci. Jesteś zły, Mistrzu?

- Nie - odpowiedział tylko. - Jak powinien brzmieć prawidłowy koniec, Miriam?

- Teraz stanę się twoim stwórcykiem, a ty moim stworzeniem. Powstań teraz, a na moje życzenie upadniesz i już nigdy się nie podniesiesz. Taki jest mój rozkaz...

- Dobrze - pochwalił go Mistrz. - O czym zawsze należy pamiętać, wypowiadając zaklęcie?

- Od początku.

- Dlaczego?

- Bo żadne życie nie może być prawdziwe bez śmierci.

- Dobrze.

Stary Mistrz spojrzał na chłopca ze współczuciem. Miriam gładził delikatnie Pegaza po grzywie siwej, jak jego własne włosy. Kiedy spojrzał na chwilę na Mistrza, w jego spojrzeniu starzec zobaczył smutek. Mistrz spuścił wzrok, popatrzył na wózek chłopca. Nie pojmował, jak ktoś z takim talentem mógł urodzić się bez nóg.

- Coś cię trapi, mały przyjacielu?

Miriam nie miał ochoty odpowiadać. Pewnie na pytanie Mistrza pokręciłby tylko głową, gdyby nie jego ton i łagodny wzrok, który zakazywał ignorowanie jakiegokolwiek pytania.

- Tak, Mistrzu. Rozmyślam... - urwał. Minęło parę chwil ciszy. Mistrz przeniósł wzrok na chmury, które powoli sunęły przed siebie i odezwał się:

- Czasem jesteśmy zbyt słabi, aby mówić, co nas boli. Nie potrafimy żyć bez masek, nie potrafimy nadzy, jak chmury przeć do przodu. Czy wiesz, dlaczego tak jest?

- Nie, Mistrzu - odparł chłopiec, wiedząc, że chodzi mu o niego.

Mistrz wziął jeden głęboki oddech, uśmiechnął się spod brązowej brody i odparł:

- Za dużo myślimy, chłopcze. Za mało robimy. Na wszystko brakuje na czasu.

Miriam zawahał się. Wiedział, że Mistrz chce usłyszeć, co go trapi, ale chłopcu bardzo trudno przychodziła rozmowa o uczuciach.

- Mistrzu, chciałbym żyć inaczej - powiedział, starając się z całych sił nie spuszczać wzroku ze swojego mentora. Mały Pegaz tulił się do chłopca, jakby chciał dodać mu otuchy.

- Co masz na myśli, Miriam?

- Mistrzu, czy będę mógł kiedyś zrobić zdjęcie nóg, będę mógł sprawić, żeby stały się moje?

Mistrz pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie. Nawet, jakbyś nauczył się ożywiać części ciała, nigdy nie powinieneś łączyć ich z żywym ciałem. To zakazana magia, Miriam.

- Ale jeśli to, co złe, będzie dobre dla mnie? - upierał się chłopiec.

- Nawet dobre rzeczy, mogą tworzyć zło. Nie powinieneś nigdy o tym zapominać.

- Mistrzu, ja... ja chciałbym być wolny. Chciałbym robić wszystko, czego nie mogę, tylko nie wiem jak...

Stary Mistrz wstał i powoli podszedł do chłopca.

- Pora wracać do domu - złapał za wózek i popchnął go do przodu.

- Mistrzu, ale...

- Daj sobie czas, Miriam. Daj sobie czas, a zobaczysz, że droga do wolności jest łatwiejsza niż myślisz.

- Dobrze... Mistrzu.

Mistrz i jego uczeń, Miriam oddalili się od drzewa wiśni, snując swoje własne plany. Nikt nigdy nie podejrzewał małego, kalekiego chłopca o wielkim talencie o to, że kiedyś naprawdę zdobędzie wolność. Nikt oprócz jego Mistrza.

Aż do tamtego dnia...

Niesforna czupryna Miriam falowała na wietrze, kiedy jego siwy wierzchowiec wznosił się coraz wyżej i wyżej.

- Szybciej, Pegaz! Dawaj! - krzyczał siedemnastoletni chłopak, trzymając się kurczowo grzywy ogiera, aby nie zginąć od bolesnego upadku na twardą ziemię. - Wiem, że stać cię na więcej! Jazda!

Pegaz machał potężnymi skrzydłami co sił w płucach i kiedy wydawałoby się, że zaraz zobaczą kosmos i ukryte w nim gwiazdy, wyrównał lot, aby móc odpocząć. Niebezpieczna szarża powietrzna zamieniła się w spokojną trasę widokową.

- To było coś, Pegaz! - wykrzyknął Miriam. Pegaz zarżał na komplement przyjaciela.

Miriam powoli zaczęła uspokajać oddech. Rozejrzał się na boki, byli dość wysoko, aby dotknąć chmur. Spojrzał w dół i jedyne, o czym pomyślał, to żeby nigdy już nie wracać do tamtego dolnego świata. Do świata, w którym czuł się obcy.

- Szkoda, że nie możemy latać tak bez końca... - szepnął.

Pegaz zaczął zawracać, stopniowo zniżając się w dół. Wylądowali w lesie, niedaleko drogi do miasta. Dokładnie tam, gdzie Miriam zostawił swój wózek inwalidzki.

- Dzięki, stary - odparł chłopak, kiedy Pegaz położył się na ziemi, ułatwiając mu wejście na wózek. Przyjaciele powoli ruszyli w drogę powrotną do domu. Kiedy wyszli na drogę, Miriam zauważył, że przed nimi idą dwie kobiety, żywo o czymś rozmawiając. Jedna, nieco starsza, mocno wytatuowana podpierała się na srebrnej lasce, a wokół tej młodszej spokojnie fruwały motylki. Każdy z miasta Miriam miał jakiś ważny znak rozpoznawczy, dlatego chłopak od razu rozpoznał te dwie. Stara zaklinaczka pogody, Sara oraz jedna z Czarodziejek, panująca nad motylami, Róża. Dwie zagorzałe plotkary i najlepsze przyjaciółki.

Miriam wyrócił oczami. Ominąłby je bez zbytniego zainteresowania, gdyby nie fragment rozmowy, która przez przypadek została przez niego zasłyszana.

- ... ten stary głupiec znowu coś wywinął, tym razem to może być poważne.

- Chodzi ci o tego Czarownika, wokół którego ciągle włóczy się ten kaleki dzieciak?

- Taaak... błagam, obaj mogliby darować już sobie te podchody, wszyscy dobrze wiedzą, że dziecko bez nóg, nawet nie wiadomo z jakim talentem, nie



może być dobrym magiem. Ten stary dureń już dawno mógł iść na emeryturę, a zamiast tego poświęca resztę życia jakiemuś wyrostkowi.

- Kto wie, może ten wypadek czegoś go nauczy... HOLA, CO JEST?!

Miriam nie chciał już tego słuchać. Wystrzelił, jak z torpedy przed siebie, siłą ramion ruszając wózek. Wjechał pomiędzy dwie kobiety, jednej boleśnie przejeżdżając po stopie. Bynajmniej nie było mu z tego powodu przykro. Teraz obchodziło go wyłącznie to, co stało się z jego mistrzem.

Kiedy Miriam wjechał do domu Mistrza, popychany przez Pegaza, zobaczył tam swoją Matkę. Mistrz leżał obok niej na łóżku, był przykryty kocem, oddychał bardzo ciężko. Matka Miriam płakała, trzymając starca za pomarszczoną dłoń. Chłopak poruszył powiekami, jakby chcąc widniejący przed nim obraz zamienić w sen, z którego za chwilę się obudzi.

- Mamo... - głos mu się załamał. Odchrząknął cicho, aby przywrócić jego normalny ton. - Wezwałaś lekarza?

- Tak... spóźnia się.

- Dlaczego? - zapytał Miriam. Nie odpowiedziała mu, chłopak wcale tego nie oczekiwał. Wiedział, że lekarz przyjdzie dopiero, gdy już będzie po wszystkim.

Jego Mistrz nie przeżyje chociażby paru minut. Nikt mu nie pomoże.

- Mistrzu, słyszysz mnie? - Miriam podjechał na wózku do człowieka, którego traktował, jak ojca. Stary Mistrz otworzył oczy.

- Miriam? A jednak zdążyłeś... - szepnął. - Chłopcze, ty i twoja matka byliście najlepszym, co dostałem od życia. Miriam...

- Tak?

- Zrób w końcu to, czego tak bardzo pragniesz, mały przyjacielu... wiem, że możesz to zrobić właściwie...

- Tak, Mistrzu. Mogę.

Stary Mistrz uśmiechnął się spod swojej białej od siwizny brody. Miriam wytarł krew krzepnącą na jego czole, położył dłoń na włosach staruszka. Żegnał się z nim. Obok niego siwy ogier robił to samo – skrzydła i uszy mu oklapły, schylił lekko łeb, oddając mu cześć.

- To był wypadek... - szepnęła matka Miriam. - Spadł z wysokości, chciał koniecznie zamontować na schodach tę windę... nie zdążyłam go złapać.

Natychmiast pobiegłam po pomoc, ale nikt... nikt nie chciał pomóc, wszyscy byli zajęci... a lekarz się spóźnił...

- Przestań... - Miriam ujrzał, że klatka piersiowa Mistrza przestała się unosić.

- To był wypadek... Miriam...

- Przestań do mnie mówić! - wykrzyknął chłopak ze łzami w oczach. - Nie mów tak do mnie! Wyjdź stąd! Proszę...

Przerażona matka wybiegła z domu z płaczem, zostawiając Miriam samego. Chłopak płakał nad ciałem zmarłego Mistrza aż do przyjścia lekarza, który zjawił się dopiero następnego dnia rano.

Od śmierci Mistrza minął miesiąc. Wielkimi krokami nadchodziła jesień, wszystkie liście zmieniały swe barwy, a ludzie chodzili uśmiechnięci. W mieście uwielbiano jesień.

Miriam siedział w pracowni i śrubokrętem wkręcał kolejne śrubki. Lewa noga była już prawie gotowa, wystarczyło tylko odrobinę magii, aby była sprawna tak, jak prawdziwa...

- Niech to szlag! Gdzie, znowu, się podziało to ustrojstwo?

Pegaz, przypatrujący się pracy przyjaciela, sięgnął pyskiem po małe kółeczko, leżące na ziemi i podał je Miriam. Chłopak wziął je, ale wystarczyło tylko jedno zerknięcie, aby stwierdzić, że to nie mogło się udać.

- Znowu to schrzaniłem... Jak ja mam zrobić dwie nogi, skoro nawet durnego kolana nie umiem dorobić?

Chłopak zakrył twarz dłońmi. Starał się od tak dawna. Starał się zrobić coś samodzielnie, gdyż magia nie pozwalała na to, czego tak pragnął. Nie mógł mieć prawdziwych nóg, nie mógł ich ożywić, to zakazane. Dlatego tak bardzo się starał...

W przypiływie szału Miriam rzucił prototyp lewej nogi na ziemię, śrubki rozsypały się dookoła, a metalowa kończyna rozpadła się na dwie części. Przez ten gwałtowny ruch Miriam zachwiał się. Nie mógł podeprzeć się niczym, więc runął na podłogę. Znów krzyknął, lecz tym razem z bólu.

Pegaz zarżał z przerażenia i podbiegł do Miriam. Na początku sądził, że chłopak dostał drgawek z powodu bardzo silnego bólu, lecz potem zrozumiał, że to okropny szloch wstrząsnął ciałem nastolatka.

- Przepraszam... Przepraszam...

Pegaz polizał łyzy na twarzy chłopaka, sprawiając, że ten spojrział na swojego kopytnego przyjaciela. Miriam wyglądał, jak przestraszone dziecko, próbujące odnaleźć się w trudnej sytuacji. Pegaz wiedział, że musi mu pomóc.

„Gdybym umiał mówić, powiedziałbym coś tak durnego, żebyś zaczęła się śmiać” - mówiły oczy siwego pegaza. - „A potem zrobiłbym wszystko, abys mógł w końcu stanąć o własnych siłach.”

Miriam uśmiechnęła się przez łyzy. Rzucił się na Pegaza, chowając w jego gęstej grzywie zapłakaną buzię.

- Dziękuję, że jesteś - wyszeptał.

- Musimy to zrobić, Pegazie - dodał po chwili, ocierając łyzy. - JA muszę to zrobić. Jesteś ze mną?

Błysk w oku Pegaza był nagły, ale stanowczy. „Zawsze” - mówiło jego spojrzenie.

Stadion był wypełniony aż po brzegi. Przyszły wszystkie kasty, łącznie z szamanami i zaklinaczami zwierząt, aby zobaczyć jedyny taki w roku bieg mężczyzn.

Zawody rozpoczęły się przed przybyciem Miriam i Pegaza pod trybuny. Miriam zaciskał zeszytywniałe palce na swoim starym aparacie fotograficznym, Pegaz był z tyłu i pchał jego wózek. Siwy ogier nie musiał pytać przyjaciela o pewność w zamiarach. Wiedział, że desperacja Miriam była wystarczającą odpowiedzią.

Chłopak czekał na odpowiedni moment – kiedy wszyscy uczestnicy biegu okrążą ostatnie koło i przebiegną przez metę. Zrobi zdjęcie najlepszemu z nich. Zrobi zdjęcie nóg...

Kiedy nadszedł odpowiedni czas, chłopak pstryknął zdjęcie. Ludzie byli zbyt zaaferowani zawodami, aby zauważyć młodego kalekiego chłopca, który za wszelką cenę chciał chodzić.

Gotowy? - zapytał Pegaza. Ogier zarżał cicho, niepewnie. - Muszę to zrobić. Nie mam innego wyboru...

Miriam wyciągnął palec przed siebie, dotykając wydrukowanej fotografii. Wziął głęboki wdech i zaczął zakłęcie:

- Nadaję wam życie z możliwością jego straty. Na moje słowa zaczniecie czuć, chodzić i biegać, kiedy tylko zechce. Na moje słowa staniecie się mi

posłuszne, staniecie się częścią mnie. Teraz ja stanę się waszym stworzycielem, a wy moim stworzeniem. Powstaniecie teraz, a na moje życzenie upadniecie i już nigdy się nie podniesiecie... Taki jest mój rozkaz!

Zielone światło wystrzeliło do góry, Miriam, nie opuszczając ręki, z całych sił starał się utrzymać myśli o obrazach, które chciał ożywić, o nogach. Próbował sprowadzić je do siebie, nie mogły mu się wymknąć. Nie po tym wszystkim... Nie teraz.

- AAA! - moc zaklęcia odrzuciła chłopaka do tyłu. Na chwilę stracił przytomność, a kiedy znów otworzył oczy, było już po wszystkim.

- Przeżyłem? - spojrzał na Pegaza, który zdawał się uśmiechać na swój pegazi sposób. Miriam zwrócił głowę w dół i... wtedy odjęło mu mowę. To niemożliwe. To nie mogło być takie proste. To nie miało prawa się udać.

A jednak. Udało się.

- Ja pikolę, mam nogi! - wykrzyknął głosem najszcześniejszego człowieka na świecie. - Pegaz, pomóż mi wstać!

Kiedy już stał na „własnych” nogach, zachwiał się, lecz Pegaz nie pozwolił mu upaść. Cierpliwie czekał aż przyjaciel zrobi parę kroków, podskoków, a potem w końcu pobiegnie wokół stołu roboczego. Radość obu była ogromna.

Miriam wskoczył na grzbiet siwego ogiera, ścisnął jego boki, a Pegaz z radością posłuchał przyjaciela i wyfrunął przez drzwi ku chmurom, dobrowolnie dając się kopać po swoich bokach.

Wiatr wpadł do pracowni przez uchylone drzwi. Zdjęcie zwycięzcy przedjesiennego biegu sfrunęło na podłogę. Człowiekowi na fotografii brakowało nóg. Pozostała jego część zaświeciła delikatnie na zielono. Cały tułów powoli zaczął zanikać, a zdjęcie coraz bardziej świeciło na kolor zielony. Człowiek na fotografii stopniowo zniknął tak samo, jak jego istnienie.

Chłopak na siwym pegazie rozkoszował się każdą chwilą z jego nowymi częściami ciała. W końcu nie potrzebował wózka, nareszcie był wolny, mógł robić wszystko. Ograniczenia dla niego przestały istnieć.

- Pegaz, sfruń na dół, czas pochodzić! - powiedział, klepiąc przyjaciela po szyi. Czas pochodzić... och, jakże piękne i nierealne to były słowa dla kalekiego chłopca, który urodził się bez nóg.

Pegaz sfrunął na ogródek za ich rodzinnym domem. Miriam zszedł z jego grzbietu, odczuwając coraz większe szczęście, że mógł robić to już samodzielnie. Jednak, kiedy poruszył nogami, coś go zabolalo. Poczuł, jakby ktoś naraz włożył mu pod skórę setkę igieł. Zatrzymał się, bo ból stawał się coraz silniejszy.

- Coś jest nie tak, Pegaz - przestraszył się. - Czy to powinno boleć?

Pegaz wyglądał na tak samo przerażonego, co Miriam. Chłopiec uśmiechnął się nerwowo, próbując nie dopuścić do siebie myśli o skutkach ubocznych zakłęcia.

- Na pewno przejdzie...

- Miriam?

Miriam odwrócił się, słysząc za sobą swoje imię.

- Mamo spójrz, udało się! Są prawdziwe! To prawdziwe nogi!

Mama Miriam nie wyglądała na zdziwioną. Jej mina wyrażała bardziej ogromne przerażenie i rozpacz. Była rozczarowana.

- Miriam, co ty najlepszego zrobił temu człowiekowi... - jej głos załamał się.

- Co...? - chłopak nie miał pojęcia jeszcze, jak bardzo okropnej rzeczy się dopuścił. - Mamo, o co chodzi?

Miriam postąpił krok do przodu, lecz to był błąd. Lewa noga nie wytrzymała obcego ciężaru i chłopak upadł na ziemię, uderzając przy tym głową o kamień. Ból przy skroni nie był lekki, lecz nie można go było porównać z bólem, który chłopak odczuwał w całych nogach.

- Miriam, co ci jest?! - mama podbiegła do niego, stawała się coraz bardziej przerażona.

- To boli... - jęknął chłopak. Na jego twarzy zaczęły pojawiać się cienkie kropelki potu.

- Coś ty zrobił... Idę po pomoc.

- Mamo, nie możesz... - chciał protestować, lecz kobieta już ruszyła do wyjścia.

- Przykro mi, synku, ale oni muszą się dowiedzieć, że to ty, bo inaczej umrzesz razem z tamtym człowiekiem! Pegaz, zostań z nim. Będę niedługo.

- Mamo... - Miriam nie miał sił, aby się sprzeczać. Zamknął oczy. Nawet na coraz rozpaczliwsze nawoływania Pegaza, nie potrafił ich otworzyć.

Co ja zrobiłem? - pomyślał. - Czy teraz umrę? Umrę, bo chciałem doświadczyć wolności, kosztem innego człowieka? Ja nie wiedziałem...  
- Przepraszam... - powiedział i stracił przytomność.

Mistrz, przepraszam. Przepraszam cię - płakał. Znajdował się w dziwnym miejscu. Stał, nie czując bólu, obok starego drzewa wiśni. Przed nim stał Mistrz. Wyglądał, jak przed śmiercią. Był pełen życia i radości.

- Przepraszam, znowu nawaliłem.

- To nie mnie powinieneś przepraszać, chłopcze. Co z tamtym człowiekiem? - zapytał Mistrz.

- Nie wiem. Nawet go nie znam. On umrze?

- Tak, jeśli nic z tym nie zrobisz.

- A co ja mogę?

- Tylko ten, który rzucił zakazane zaklęcie, może je odczynić. Dlatego są zakazane – bo nigdy nie wiadomo, czy człowiek zrozumie swój błąd i zechce go naprawić.

- Ja chcę. Chcę to naprawić.

- Więc zrób to.

- Ale jak?

- Mówiłem, twój brak uwagi kiedyś cię zgubi, mały przyjacielu. Musisz ruszyć głową. Znasz przeciwzaklęcie.

- Znam je...? - Miriam zastanowił się. - Czy kiedy je wypowiem, wszystko będzie jak dawniej?

- Nie do końca, chłopcze. Każdy, kto dopuszcza się grzechu, musi liczyć się z jego konsekwencjami. Kiedy wypowiesz zaklęcie, ten człowiek przeżyje, a nogi zostaną ci brutalnie odebrane. Możesz tego nie przeżyć.

Miriam przyjął te słowa ze spokojem. Co innego mógł zrobić?

- Jeśli umrę, Mistrzu... czy Pegaz też?

Mistrz pokiwał głową.

Zmianą zaklęcia, które wtedy wypowiedziałeś, złączyłeś siebie i to zwierzę aż do śmierci. Jeśli ty przestaniesz oddychać, ono też. Więc zginiecie oboje lub przeżyjecie razem.

Drzewo wiśni zatrzęsło się, chłopak zrozumiał się, że zbliża się koniec rozmowy z Mistrzem.

- Do zobaczenia - powiedział.

Dziwne miejsce rozpląnęło się, zostawiając zapłakanego chłopca całkiem samego.

Obudził się w łóżku, w nie swoim domu. Obok niego stała mama. Trzymała go za dłoń i klóciła się o coś z jakąś kobietą. Gdy przekręcił głowę na drugi bok zobaczył tam mężczyznę z jego zdjęcia. Koc spłaszczył się na dole zupełnie, jakby ten człowiek nie miał nóg.

- Mamo...

- No, obudził się w końcu! Masz zdjąć to przekleństwo z mojego męża, słyszysz? Jak nie, to pójdziesz siedzieć! - kobieta, klócąca się z jego matką wykrzyknęła to tak głośno, że omal mu głowa nie pękła.

- Niby jak? Mój syn też może umrzeć, przypominam! - zaoponowała mama Miriam.

- Na własne życzenie!

- Zrobię to... - szepnął Miriam. - Cofnę wszystko.

Patrzył w sufit, nie widział więc reakcji swojej mamy ani tej kobiety. Wiedział, że to słuszna decyzja. Nie powinien zabierać temu człowiekowi nóg. Nie powinien tego robić nawet jeśli już na zawsze miał pozostać nieszczęśliwy. To, że odebrał temu mężczyźnie wolność, było czymś obrzydliwym. Czymś, co bardzo trudno wybaczyć.

Teraz miał szansę to naprawić.

- Jesteś pewny, że dasz radę? - do jego łóżka podszedł lekarz.

- Tak - odparł chłopak. - Pamiętam zakłęcie. Potrzebuję tylko tego zdjęcia.

- Wzięłam je - mama Miriam wyciągnęła pogiętą fotografię z kieszeni. Pomogła mu usiąść. Miriam skrzywił się z bólu.

- Zaczynam... - odparł, wyciągając palec przed siebie. - Zabieram was ze świata, w którym się znalazłyście. Zatrzymuję wasze życie w tym zdjęciu. Na mój rozkaz wróćcie tam, skąd przyszłyście i tam pozostaniecie do końca... - dłoń mu zadrżała, kiedy na zdjęciu oraz pod jego kocem pojawił się zielony blask. - Wróćcie tam, skąd zostałyście przyzwane, nogi. Uwalniam was. To mój ostatni rozkaz!

Miriam krzyknął rozdzierająco. Właściwie tego się spodziewał, ale ten ból... był jeszcze gorszy od poprzedniego. Jego nogi zniknęły, zamiast nich pojawiła się krew, która w moment zabarwiła całe łóżko. Chłopak runął do tyłu, na szczęście były tam poduszki. Słyszał poruszenie wokół, czyjeś krzyki

i dotyk. Ktoś próbował tamować krwotok. Miriam był za słaby, żeby się poruszyć.

- To działa! - wykrzyknęła tamta kobieta, żona mężczyzny, którego skrzywdził. - Doktorze, to działa!

- Do cholery, nie umieraj! - powtarzał lekarz. Cały czas używał magii, aby zatamować krwawienie, jednak pacjent był coraz słabszy. - Młody, nie umieraj! Nie u...

Miriam nie słyszał już niczego. Nic nie szkodzi, pomyślał. Byłem na to przygotowany. To moja wina, chciałem naprawić swój błąd. Nic nie szkodzi...Może teraz naprawę będę mógł chodzić?

To była jego ostatnia myśl. Potem stracił przytomność.

Od tamtego dnia Miriam bardzo się zmienił. Lekarz z trudem uratował mu życie, a gdy chłopak doszedł do siebie, odkrył z ulgą, że biegacz żyje i ma się dobrze. Nie tylko Miriam najadł się strachu. Pegaz nie odstępował chłopaka na krok, a matka na powrót zachowywała się, jakby Miriam znowu miał sześć lat. Chłopak doceniał ich starania. To dzięki nim widział powód, dla którego wciąż żyje.

Od tamtego wydarzenia minęło pół roku. Miriam siedział w pracowni i śrubokrętem wkręcał ostatnie śrubki.

- Stary, podaj mi ostatnią część - zwrócił się do Pegaza. Siwy ogier już trzymał w pysku metalowe kółko, przygotowany na wszystko. Miriam uśmiechnął się i wziął od przyjaciela ostatnią część. Kiedy już skończył, położył obie dłonie na urządzeniu i w myślach wypowiedział zaklęcie.

- Gotowe. Pomóż mi zejść.

Pegaz pozwolił chłopakowi zawiesić się na jego szyi. Ogier schylił łeb, aby postawić go na podłodze.

- Teraz tylko muszę je założyć...

Po godzinie wszystko już było gotowe. Miriam wstał. Zrobił parę kroków i z radością stwierdził, że zaklęcie zadziałało poprawnie. Metalowe nogi były na tyle lekkie, żeby móc biegać i chodzić. Miriam spojrział w lustro.

- M... mamó! Mamó! - zawołał. - Mamó, udało się! W końcu mi się udało!

- Miriam! - kobieta, widząc syna, wybuchnęła płaczem. Chłopak podbiegł do niej i mocno ją uściskał.

- Dziękuję, mamó.



- Miriam, to twoja zasługa. Tak się cieszę!

- Gdyby nie ty i Pegaz już dawno by mnie tu nie było. Dziękuję, że jesteś i przepraszam za to, jaki byłem przedtem. Kocham cię.

- Ja ciebie też, synku.

Tę wzruszającą chwilę przerwał im Pegaz, wchodząc między nich. „A mnie?” - pytały jego oczy.

- Ciebie też, stary. Jesteś najlepszy!

Pegaz podskoczył z radości, omal przy tym nie wybijając dziury w suficie i wybiegł na dwór.

- Idę pobiegać mamó! Wrócę na obiad! - Miriam wybiegł za przyjacielem. Razem biegli przed siebie ile tchu w płucach. Mieszkańcy miasta okrzykami pozdrawiali chłopca, który w końcu dokonał niemożliwego. O kalekim chłopcu z wielkim talentem opowiadało wiele miast, a historia tego młodego mężczyzny była przestrożą, a zarazem wzorem dla ludzi, którzy nie mogli uwierzyć, że czas jest szansą dla wolności.

*Martyna Rutkowska*

## **Bohaterstwa brzemie**

Krawat nowy - leży wyjątkowo  
Złotą klatkę ozdabia  
Nadaje jej niezwyklej smukłości.

Srebrzyste włosy zaś są zasłoną  
pełną doświadczenia.  
Oznaką tysięcy przebytych dni,  
Wolności wyboru - tysiąca mil.  
Tego bohatera tylko brak.  
Zaszył się, zaszył na bank.

Wiele dźwięków grało w nim jednocześnie  
Myślał już że to schizofrenia  
Kto powinien mu powiedzieć, że  
nie musi, że wyjść może  
W każdej chwili.. będzie gorzej.

Kto się przyjrzeć mu powinien?  
To ten co stukał w złotą klatkę  
Kanarkowe piskłę - jedyny sprzymierzeniec.

Ten cichy przyjaciel, nic nie mówił  
Tylko słuchał, tylko patrzył.  
Czarne oczka wypłakiwał.

Lecz znalazł chwilę,  
Odzyskał wolność, oddał się swojej czasoprzestrzeni  
Odnalazł idealną, tam mógł brudzić się do woli

i nie wracać w miejsca czyste  
Czas dać sobie, i przyjacielowi  
I bohater też  
śladem kanarka otworzył złotą klatkę  
I odkrył inną od tej, złotej barwy.

Zobaczył szarość, czerń, czerwień...  
I ogień. Zakochał się w tym szarym przygaszonym,  
lecz czasem intensywnym świetle.  
Nie mówił nic. Śladem kanarka,  
chciał go upamiętnić.

Tylko znalazł przyjaciela  
Tylko chciał, w nowym miejscu się pozbierać.  
Umyć piórka, umyć dziób  
Nie martwić się, że nie błyszczą.  
Jest matowy. Szary.  
Ale szczęśliwy.  
Cóż to bohaterstwo, sława..

I pewnego dnia - na ramieniu cień,  
stary przyjaciel.

*Wiktoria Konkol*

## Przepaść czas

Miejsce które wolność daje  
Pozwala odetchnąć  
Głęboki wąwóz  
Wydaje się że jestem na dnie,  
Ale kładę się niezwykle wygodnie.  
Mam tam kocyk, poduszeczkę,  
ciepły kubek, woń gorącą  
Wszystko co, otula ducha.  
Atmosfera bardzo gęsta, aż paruje od emocji.  
Co jakiś czas,  
Ten wspaniały, co powoli płynie  
Wyglądam ze swojego.. Parszywego Dna  
Nie uśmiecham się do innych  
Do siebie jedynie.  
Szczęście wypływa z oczu.  
Bo na swym dnie mam czas  
Potrzebuję go jak góry  
Z której widać wszystkie stopnie  
Czuć zapach triumfu.  
Ale wieje na niej strasznie  
Spadam więc na dno  
To ciche ciepłe miejsce,  
Mam wszystko.  
Lecz nikt do mnie nie chce dołączyć  
Skoczyć razem, obok mnie  
Wszyscy widzą przepaść  
A ja w niej pławię się.

*Wiktoria Konkel*

## Stare Miasto

Szare karty historii  
Piękne pióro  
Może być gęsie  
I pergamin co na co dzień  
Kupuję na mieście,  
Ale średniowiecznym  
Słucham wciąż chorałów  
Wypominam życiu przeszłość  
I choć w młodym ciele żyję  
Wizję mam starości  
Przebija tutaj tylko złota nuta  
Melodia oczywistości.  
Na pewno mam starą  
pomarszczoną  
Duszę  
Lecz co z tego, kiedy ciało  
Latać może ponad wszystko  
Rozpościerać rzeczywistość  
Wspinać się na góry, drzewa  
Powiew liści w uszach czuć.  
Nie mieć żalu do czasu że mnie zostawia.  
Lecz kochać za to że przyszedł.

*Wiktoria Konkel*

## **Opowiedz mi wolność**

Opowiedz mi wolność  
w całości odzianą sytymi ptakami  
i ogrodami pokochanymi o brzasku,  
w swej głębi wężącą za życia  
dalszym ciągiem, którego piękno  
nie zamarzło ciemnem,  
a wiatr nie został zasolony.  
Nie pozwól już okradać psów  
i strzelać do mrówek.  
Niech wypuści się światła  
wszystkimi szparami –  
niech wchodzą rozbrojone archanioły.  
Niech zamknie się rzeczy złe,  
a ciężkie – niech wypoczną.  
Daj wstąpić w wielki spokój,  
by ludzkie stopy przestały drgać  
nagie od popłochu.  
Niech uwolni się słońca związane,  
wtulone dotąd w opłakany strach.  
Niech serce świata nie śpi śmiercią,  
niech znosi jaja i chleb –  
o smaku nieboskłonu.  
Widać po Bogu, że tego chce,  
by zmarła zima mogła ustąpić,  
wstrząśnięta, niema,  
doprowadzona na cmentarze.  
A w kąpieliskach życia  
znowu zrobi się więcej Człowieka,  
gdy wkroczy niebieskooka orla biel  
wolności – bliska domu, siejąca dalekie ziarna.

***Hanna Makurat-Snuzik***

## Przyszłość nas nie zawiodła

Przyszłość nas nie zawiodła,  
zwyciężyliśmy wyprostowani.  
Wchodząc na farmy bieli i czystości,  
przemogliśmy niewolę (nie)prawd.  
Rozgrzeszono nasze skronie,  
otarto chmury z płaczu. O byłym ciężarze  
świadczyły tylko zgniłe zdjęcia trupów i otrute gołębie,  
które się jednak wydostały z trzęsień lądów,  
przeciskając swe serca przez szczeliny,  
w których nikt już nie czekał ofiar.  
Cieszyliśmy się, że zło stawało się martwe,  
a światło uwolnione między oceanami.  
Na dobre wyszło to, że klęskę poniosła  
tylko sama śmierć, która jako umarła i strawiona  
nie mogła wchodzić w ciepłość i żarliwość krwi.  
Ogień już przestał się palić,  
także w piekle, które zamarzło,  
deszcze też się nie wynurzały  
ani z nieb, ani z deszczowni.  
Za to długo wytrwała z nami tęcza  
w całości biała, zwiastująca wiecznotrwale przymierze.  
Minuty stawały się wolne i nieskrępowane czasem.  
Ziemia zyskała przewagę nad własnym ciałem  
i bez żadnych względów nie dopadały ją  
nawet malutkie ulewy czy śladowe znaki wojny.  
Zarazem kochająca kopuła nieba pochylała się nad krajem,  
pokrzepiając jego nadzieję swym zapachem cnoty.  
Przyszłość nas nie zawiodła,  
mimo starych brudów na kartach historii,  
ludzkość ostatecznie nie została odczłowieczona,  
a pokój na świecie został zaprowadzony.

***Hanna Makurat-Snużik***

## Królewska głęboka gęsta wiosna

Wszechświat jest wolny, czas niepoddany strachowi.  
Królewska głęboka gęsta wiosna opiekuje się pięknem.  
Kwitną księżycy, kładąc światło dość miękkie. Między oceanami  
jest ich tysiące, a nawet setki za tęczy płotem wilgotnym.  
Białe muchy siadają na wolno puszczonej półdzikich krowach,  
zapowiadając, że deszcz już nigdy nie będzie z rozmachem rozlewany  
czy okryty wichrem, a noc kochana przebije się przez własną  
ciemność i nie zmrozi już ślepym całunem wykładziny świata.  
Koniczynowe pola szumią skrzydłami zieleni,  
rozlewając nadzieję także w ciemniejszych stronach.  
Wiedza drzew staje się dostępna w lesie pamięci,  
gdzie dusze z różnych pokoleń wszechświata mogą się spotykać.  
Cmentarze światła zostają zamknięte. Bogowie chłodu  
zostają wygnani i nie rodzą się już więcej.  
Zamyka się wojny i zażarte gniewy.  
Przez ogród idą za to niepodległe byty  
z zadartymi do góry ogonami i wiarą.

*Hanna Makurat-Snuzik*



## Tryptyk

### „*wolność*”

na jednej ze ścian ołtarza  
ukrzyżowano wolność  
jej biała jak skroń matki szata  
poruszana technieniem modlitwy  
dotykała sklepienia kościoła

Chrystus z obrazu Caravaggio  
tuż przed złożeniem do grobu  
patrzył na wolność  
i rozumiał jej smutek

nie wyszeptał jednak  
słów pocieszenia  
jak wtedy gdy uspokajał płaczące niewiasty  
już wiedział  
jak słony smak mają  
zdrada Judasza  
strach Piotra  
zwątpienie Tomasza

szukał jedynie ciszy i sił  
by kolejny raz przetoczyć  
kamień grobu

***Barbara Malawska***

## **„czas”**

zastygł  
znieruchomiał świat

w szczelinach jeszcze żywych drzew  
mienilo się zimnym blaskiem  
spojrzenie Boga  
które przenikliwym strumieniem oślepiło  
zegar na wieży kościoła

czas stanął w miejscu  
i czeka

przerażony człowiek  
świadek tajemnicy objawienia  
przed którym nie zatajono przecież  
żadnej prawdy  
wstrzymał oddech

alabastrowy nieboskłon zaszedł krwią  
ptaki umierały w locie

***Barbara Malawska***

## **„szansa”**

ilu pytań nie zadał Bóg  
stawiając głupców na drogach i ścieżkach  
ich płaszcze pokrywając kurzem  
ile kwestii przemilczał  
dając wolność barbarzyńcom  
których na moment spuścił z oczu  
usta ich krzywiąc w uśmiechu  
o ilu kwestiach zapomniał  
bo nie miał do nich głowy  
aniołom pozostawiając wybór  
nam otwartą przestrzeń  
ile szans przygotował  
by nie stracić wiary w człowieka  
ile

przeżony swą dobrocią  
siwą skroń schował w dłoniach  
i myśli, czy nie zacząć od nowa

***Barbara Malawska***

***Katharsis spotyka się z Bogiem***

kroki

Kroki

KROKI

w pustym białym korytarzu

zasiadł przy stole  
ręce sztywno splótł  
znudzony czekaniem  
na nieobecnego gospodarza

podziwia na ścianie  
portrety pełne barwnych smug  
spływające krwią farb  
a jednak puste

ramki niedopełnione zdjęciami  
szafki niewypełnione szkłem  
kominek bez skaczącego ognia  
nawet ta pustka jest niedokończona

z to w jego duszy  
panuje bylejakość  
byleżycie byleśmierć  
bylebyt bylec człowieka

Cisza

Cisza  
CISZA  
w bylejakim korytarzu

Gospodarz siada przy stole  
wpatruje się w gościa  
rzuca niezadowolone spojrzenie  
swoich burzowych oczu

zerka na przybysza  
jego bezbarwną duszę  
spływającą krwią porażki  
a jednak suchą

na beznamiętne oczy  
umysł niewypełniony myślą  
serce bez uczucia  
nawet jego dusza jest nieczłowieczka

za to w domu Gospodarza  
jest miejsce nawet dla niego  
zaprasza go gestem  
i częstuje robaczywym jabłkiem

***Klaudia Janiak***

***Katharsis podróżuje przez zaświaty:***

*Piećło, Czyściec, Raj*

droga do piekła  
prowadzi schodami  
w górę

kamienne echo  
rozbrzmiewa  
rozbite o świeżo pomalowane ściany

Gospodarz zachwala  
najwyższą jakość marmuru  
który prowadzi ich do drzwi

puka i czeka  
aż ktoś uchyli  
martwe drzewo

w progu stoi Wąż  
wita gości robaczywym jabłkiem  
i mięsem jagnięcia

Gospodarz potakuje  
pyta o zdrowie  
narzeka na politykę

i tylko zza uchylonych drzwi  
widać skrawki  
osmalonych ciał

\*\*\*

białe światło  
spala dusze grzeszników  
ale jego wewnętrzna pustka  
pochłonęła go całego

Gospodarz gryzie jabłko

Katharsis wyciąga dłoń  
chce uciszyć te jęki  
nie z litości  
dla własnej wygody

Gospodarz gryzie jabłko

ich twarze ociekają łzami  
niewylanymi za życia  
ich pokuta  
brzemień

Gospodarz gryzie jabłko

stoją ramię w ramię  
obserwując ten przypadkowy spektakl  
stając się  
nieprzypadkową widownią

Gospodarz gryzie jabłko

ich czas tutaj dobiega końca  
muszą zostawić plamy szarości  
światło je wybieli  
uczyni czystymi

Gospodarz karmi Węża jabłkiem

\*\*\*

oto i on - Gospodarz  
bo Boga w sobie  
zamordował dawno temu

nie z jego winy  
przecież to szatan  
jest głównym sprawcą grzechów

Gospodarz prowadzi go  
nie po zielonych pastwiskach  
ale po plaży pełnej skał

wskazuje na latarnię  
ostatnie światło  
nad morzem czarnej pustki

razem wkraczają  
w to niehumanitarne ciepło  
jego Exodus

Gospodarz pozwala mu  
na jeszcze jedno tchnienie  
kolejne katharsis

ściska jego dłoń  
życzy powodzenia  
bo Bóg ciągle rodzi się na nowo

***Klaudia Janiak***



## *Ponowne narodziny Katharsis*

pamięta ten ostatni błysk  
to co nazywają  
światłem w tunelu  
jego latarnię

ogląda się w lustrze świata  
wnętrzu ludzkiej duszy  
zasmakował mu ten widok  
strzepnął z siebie pajęczyny

pamięta gdy był Wędrowcem  
białym krukiem  
uczniem Sztuk Pięknych  
teraz może zostać sobą  
spocząć w miękkich kłosach  
jedynie czasami  
ponownie wezwany do służby

teraz rozkłada skrzydła  
oblewa świat białym światłem  
zrzuca skórę węża  
świętując swoje ponowne narodziny

*Klaudia Janiak*

## *Okiem jurora*

Mottem 14. edycji konkursu Powiew Weny był cytat z twórczości Lwa Tołstoja „Czas to szansa dla wolności”. Jak co roku konkurs ogłosiła Miejska Biblioteka Publiczna im. Aleksandra Majkowskiego w Wejherowie. Odbywa się on pod patronatem Prezydenta Miasta. Ma charakter otwarty i skierowany jest zarówno do debiutantów, jak i autorów z dorobkiem literackim, mieszkających na terenie województwa pomorskiego.

Podobnie jak w ubiegłym roku nadesłane prace podzielono na dwie grupy wiekowe. Pierwsza skierowana do młodzieży w wieku od 16 do 19 lat, druga do dorosłych powyżej 20 lat. Uczestnicy konkursu mogli wybrać między prozą a poezją.

Hasło autorstwa Lwa Tołstoja było przez uczestników konkursu różnorodnie zinterpretowane. Okazało się inspirujące i prowokujące do różnych ujęć gatunkowych. Przeważały jednak teksty społeczno-obyczajowe, skupione na opisie skomplikowanych relacji międzyludzkich.

W grupie młodzieżowej dwie pierwsze nagrody przyznano tekstom prozatorskim. Trzecią otrzymał zestaw poezji, co cieszy tym bardziej, że w poprzednich latach liryka niezbyt często znajdowała uznanie w oczach jurorów.

Pierwszą nagrodę zdobyła Oliwia Lejman za opowiadanie, pt. „Ale byliśmy *Odessa*”. To bardzo dobrze napisana opowieść, osadzona w realich Polski lat 80-tych ubiegłego stulecia. Autorka, mimo młodego wieku, doskonale przygotowała się do napisania tekstu. Historyczne detale zostały oddane w najdrobniejszych szczegółach. Warstwa fabularna jest równie atrakcyjna. Losy rockowego zespołu tamtych czasów stają się pretekstem do postawienia poważnych pytań o sens młodzieńczego buntu, o pojęcie wolności ograniczanej przez komunistyczny reżim, wreszcie skłania do głębokiej refleksji nad tym, co zostaje z marzeń młodości.

Drugie miejsce otrzymała Martyna Rutkowska za opowiadanie "Mistrz i jego uczeń". To tekst utrzymany w konwencji literatury fantasty. Ujęcie gatunkowe proponuje opowieść z pogranicza baśni, bajki i przypowieści, co może sugerować banalizację podejmowanego problemu. Nic bardziej mylnego. W nagrodzonym opowiadaniu ukazany jest bardzo poważny dylemat. Główny bohater, będący inwalidą, dzięki magii może odzyskać nogi. Niestety kosztem zdrowia, a nawet życia drugiego człowieka. To tekst poruszający temat odpowiedzialności za swoje czyny, pokusy prowadzącej do zła, wreszcie odkupienia swoich win.

Trzecią nagrodę zdobyła Wiktoria Konkel za zestaw trzech wierszy. To liryka z potencjałem na pisanie na tzw. "najwyższej nucie". Charakteryzuje się swoim rytmem i metaforyką. To poezja nacechowana głęboką psychologizacją podmiotu lirycznego i niebanalnymi skojarzeniami.

W kategorii prozy dla grupy wiekowej powyżej 20. lat pierwsze miejsce otrzymała Paulina Melcer za opowiadanie, pt. "Między Zawsze i Nigdy". Jury nagrodziło nie tylko dużą sprawność stylistyczną tekstu, ale doceniło empatię, jaką wykazała się autorka opisująca żalobę po stracie bliskiej osoby. Otrzymujemy tu wnikliwe studium psychologiczne smutku i poczucia pustki. Jednocześnie główna bohaterka przechodzi przemianę, co jest cechą charakterystyczną każdej dobrej literatury. Pomocnym w wyjściu z traumy okazuje się spotkanie z matką zmarłego. Śmierć ukochanego mężczyzny połączyła dwie kobiety, które dotąd właściwie się nie znały. Wspólne nieszczęście może zbudować coś nowego. Należy też dodać, że opowiadanie to nie tylko ujmuje psychologiczną analizą żaloby, ale jest też surową diagnozą społeczności, dla której ceremonia pogrzebu staje się niewiele znaczącym rytuałem.

Nagrodę drugą zdobyła Maria Krzywda za opowiadanie "Elegia o nie moim miejscu". Tekst ukazuje trudne relacje syna z matką. Bohaterowie tej opowieści próbują zmierzyć się z własnymi lękami i poczuciem osamotnienia. Pierwszoosobowy narrator sprawia, że jego rozterki stają się nam bliskie. Ból wynikający z niemożności zrozumienia własnej matki, wynika z odmiennych doświadczeń życiowych, które stają się granicą ciężką do pokonania.

Trzecie miejsce jury przyznało Jerzemu Kozerskiemu, który opowiadaniem, pt. "W drodze do Szaradowa" wciąga czytelników w zawiły romans

dojrzałego mężczyzny z młodą kobietą. Różnica wieku to różnica postrzegania świata. Ten dysyonans poznawczy staje się pretekstem do emocjonalnej rogowki, w której uczucia odgrywają główną rolę. Autor sprawnie nawiązuje do konwencji romansu, jednocześnie nacechowując swój tekst specyficznym poczuciem humoru.

W kategorii poezja dorosłych jury konkursowe bezdyskusyjnie pierwsze miejsce przyznało wierszom Hanny Makurat-Snuzik. To poezja w pełni dojrzała, proponująca własną frazę i rytm. Nacechowana barwnym ekspresjonizmem, gdzie żywioły odgrywają główną rolę. Rozmach przestrzennych wizji przepełnia zmysłowość. Filozoficzne pytania ubrane są w sugestywne obrazy przyrody.

Nagrodę drugą otrzymała Barbara Malawska za tryptyk liryczny, w którym poetka próbuje uchwycić w słowa pojęcia wolności, czasu i szansy. To poezja formalnie ascetyczna, jednocześnie skondensowana znaczeniowo. Brak tu zbędnych słów, a konteksty kulturowe i przyrodnicze stanowią o jej bogactwie. Miejsce trzecie jury konkursowe przyznało Klaudii Janiak. To właściwie poemat przepełniony chrześcijańską symboliką. W motywy raju i Boga jako Gospodarza wplecione zostało pojęcie Katharsis. Poetka upostaciowuje to pojęcie i czyni z niego bohatera poematu. Dzięki temu zgrabnie łączy dwa światy: chrześcijański i antyczny.

Tegoroczna edycja wejherowskiego konkursu literackiego "Powiew weny" obfitowała w ciekawe teksty prozatorskie i poetyckie. Jury musiało jednak zdecydować się na wybór najlepszych. Pod uwagę wzięto też w jaki sposób poszczególne opowiadania i wiersze odnosiły się do motta Lwa Tołstoja, choć pozwolono na dużą dowolność.

Nagrodzone prace prezentują wysoki poziom literacki. Laureatom należy życzyć inspiracji, ale przede wszystkim wytrwałości w bardzo wymagającej pasji, jaką jest pisanie artystyczne. Dojrzałym literaci zdają sobie z tego sprawę. Młodszy są dopiero na początku drogi. Tu jednak należy dodać, że w tegorocznym konkursie jury było zaskoczone dojrzałością tekstów, jakie przesłała młodzież. Taka sytuacja rokuje nadzieję, że spośród uczestników wejherowskiego konkursu, wyrosną w przyszłości prawdziwi pisarze. Życzymy sobie, aby tak się stało.

*Daniel Odija*

# SPIS TREŚCI

Krzysztof Hildebrandt - <i>Drodzy Czytelnicy</i>	5
WYNIKI KONKURSU	7
Paulina Melcer - <i>Między zawsze i nigdy</i>	9
Maria Krzywda - <i>Elegia o nie moim miejscu</i>	19
Jerzy Kozerski - <i>W drodze do Szaradowa</i>	24
Oliwia Lejman - <i>Ale byliśmy „Odessą“</i>	37
Martyna Rutkowska - <i>Mistrz i jego uczeń</i>	46
Wiktoria Konkel - <i>Bohaterstwa brzemie, Przyszłość czas, Stare miasto</i>	57
Hanna Makurat-Snuzik - <i>Opowiedz mi wolność, Przyszłość nas nie zawiedzie, Królewska głęboka wiosna</i>	61
Barbara Malawska - <i>Tryptyk „wolność“, „czas“, „szansa“</i>	64
Klaudia Janiak - <i>Katharsis spotyka się z Bogiem, Katharsis podróżuje w zaświaty, Ponowne narodziny Katharsis</i>	67
Daniel Odija - <i>Okiem jurora</i>	73
SPIS TREŚCI	76



Miejska Biblioteka Publiczna  
im. Aleksandra Majkowskiego  
w Wejherowie

ISBN 978-83-940674-3-4